Cena 8 zł



ŚWIETLICA KRAKOWSKA

dwutygodnik

Egzemplarz bezpłatny C

Nr. 18 | Kraków, 15 września 1946 r. | Rok II

KONRAD RADECKI

W bibliotece

To nie księgi nieme i zamknięte
stoją tutaj rzędami wielkimi —
to w ich karty życie jest zaklęte,
życie wieków, wielkie życie ziemi.

Łzy stuleci, uczucia przeszłości,
wszechświat blasku i otchłanie cieni,
żmudna droga gwiazd nieskończoności
i zdeptane bukiety promieni.

Każde słowo, każde serca drgnienie,
każdy krok i do drzwi zapukanie,
uśmiech nikły, burza i pragnienie
i to wszystko, co jest nienazwane.

To nie księgi zamknięte i nieme
stoją tutaj jak wieków cmentarze —
to przez wieki stwarzane przez ziemię
oceany zdobyczy i marzeń.

Rozważania przedwyborcze

Zbliża się jesień. Wybory, oczekiwane przez wszystkich, stają przed nami już bliskim terminem ich realizacji. Wszyscy czekamy na wybory, wszyscy o nich myślimy, będą one wielkim wydarzeniem w Polsce.

Już mija drugi rok od chwili oswobodzenia naszej Ojczyzny spod jarzma okupacji, a dopiero teraz odbędą się u nas wybory powszechne do sejmu, przedstawicielstwa ludu.

Prasa polska zajmowała się tym problemem wciąż. Odłamy rządowe tłumaczyły, dlaczego wybory nie mogą się w Polsce odbyć natychmiast, prasa opozycyjna, PSL-owska, naglila do wyborów, przy każdej okazji o nich przypominała.

Dziś w obliczu nadchodzących wyborów warto jeszcze raz uczynić rachunek i rozważyć, czy należało tak długo czekać z nimi, czy też jak PSL pragnęło, należało je odbyć natychmiast.

W chwili przesunięcia się na terytorium Polski frontu w roku 1944 wyszła z podziemi Krajowa Rada Narodowa, jako demokratyczna reprezentacja ludu, zawiązana w Polsce po śmierci generała Sikorskiego, gdy „rząd" emigracyjny w Londynie przybrał wyraźne oblicze obrońcy kapitalizmu. Wszystkie demokratyczne partie, jak Polska Partia Socjalistyczna, Polska Partia Robotnicza, Stronnictwo Demokratyczne, i Stronnictwo Ludowe, znalazły swą reprezentację w Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego, tymczasowym rządzie polskim. Na ziemiach polskich toczyły się jeszcze działania wojenne, gdy PKWN przystąpił do natychmiastowej odbudowy życia na terenach oswobodzonych. Zadanie to było niezwykle trudne. Mały skrawek tzw. Polski Lubelskiej, stał się kuźnią przyszłości Polski. Tu musiano z miejsca ruszyć wszystkie dziedziny życia, przemysł, handel, szkolnictwo, administrację i rolnictwo i co najważniejsze, budować Wojsko Polskie dla dalszej zwycięskiej walki z Niemcami.

Jeśli wziąć pod uwagę, że przy ogólnym braku odpowiednich ludzi do pracy, umiano nie tylko zapoczątkować odbudowę we wszystkich gałęziach życia, lecz nawet przygotować sztab ludzi dla natychmiastowego podjęcia pracy na dalszych terytoriach Polski, gdy front ruszy, to musimy przed wysiłkiem i osiągnięciami PKWN pochylić głowy.

Pamiętać przy tym musimy, że PKWN musiał oprócz przeszkód natury gospodarczej, pokonywać jeszcze przeszkody natury politycznej. W Londynie działał wciąż nielegalny „rząd" emigracyjny, który bynajmniej nie starał się ułatwić pokonanie przeszkód w kraju.

Przykładem, na którym jaskrawo widać, zgubną politykę tego „rządu", na którego czele stał p. Mikołajczyk, jest sprawa reformy rolnej. Szerzono wewnątrz kraju szeptaną propagandę, wymyślając niestworzone bajki, by odstraszyć chłopa, posługiwano się kamową ręką, chcąc aktami terroru odstraszyć działaczy chłopskich od realizacji reformy.

Faktem jest, że w chwilach, kiedy pod państwowość polską pierwsze zakładano fundamenta, nieobecny w Polsce był p. Mikołajczyk, a masy z nim związane były albo w biernym albo w czynnym oporze w stosunku do poczynań rządu.

Konferencja w Poczdamie, powitana z entuzjazmem przez naród polski miała się stać dla nas punktem zwrotnym w uzdrowieniu stosunków politycznych wewnątrz kraju. Kilkakrotne próby ze strony PKWN i później Rządu Tymczasowego, by wciągnąć w krąg życia polskiego wszystkie elementy demokratyczne i w kraju i z poza jego granicy, zdawały się być uwieńczone dodatnimi rezultatami.

Utworzono Rząd Jedności Narodowej, również o charakterze rządu tymczasowego.

Rząd na emigracji, jako całkowity bankrut polityczny przestał istnieć. Ale czy doszło do upragnionej stabilizacji politycznej wewnątrz kraju?

Aby zrozumieć przyczynę dalszych niepokojów i wzrostu siły band leśnych, trzeba jedną rzecz podkreślić, jako założenie dalszych rozważań. Legalny rząd w kraju posiada wyraźny charakter postępowy, w którym partie robotnicze o socjalistycznym programie w dziedzinie reform społecznych, zajmują przodujące miejsce. Dlatego jest rzeczą zrozumiałą, że zbankrutowany kapitalizm i obszarnictwo, usunięte poza nawias życia u nas przez dokonane już podstawowe reformy parcelację i upaństwowienie przemysłu wielkiego, nie zejdą z widowni wypadków dziejowych bez walki. Kapitalizm i obszarnictwo polskie miały swą reprezentację w „rządzie londyńskim". Gdy ten, jako czynnik polityczny, uznawany przez kapitalistyczne „demokracje zachodu" przestał istnieć, walka się zaostrzyła. Reakcja polska zaczęła popierać faszystowskiego generała Andersa, który przy pomocy międzynarodowego kapitału, organizuje dywersję w kraju.

A jaka jest postawa p. Mikołajczyka? Wszedł on w skład Rządu Jedności Narodowej, jako demokrata, opierający swój program o zasady Manifestu Lipcowego. Przystąpienie Mikołajczyka do legalnego rządu w Polsce i zerwanie jego z kapitalistyczno-sanacyjnymi przywódcami emigracji zachodniej, powitał naród polski z entuzjazmem. Spodziewać się należało jak najściślejszej współpracy wszystkich demokratycznych stronnictw politycznych w Polsce. Tymczasem pierwszym krokiem p. Mikołajczyka było zerwanie jedności wsi, przez utworzenie nowego stronnictwa ludowego, mimo, że już od pierwszej chwili działało legalne Stronnictwo Ludowe, godnie reprezentując interesy chłopa polskiego w demokratycznym rządzie. Jedynym powodem utworzenia nowego stronnictwa mogła być i była chęć odgrodzenia się od podstawowego, lewego, postępowego odłamu działaczy chłopskich, jacy stali na czele stronnictwa. Mógł skład personalny Stronnictwa nie odpowiadać p. Mikołajczykowi, ani wprowadzonym przez niego masom. Zmiana kierownictwa przy pomocy wyborów partyjnych jest przecież czynnikiem normującym te rzeczy w łonie stronnictw politycznych. Skoro zatem nie przedstawił p. Mikołajczyk i jego grupa innego programu, nad ten, który całkowicie pokrywał się już z istniejącym, to jak to dalszy bieg wypadków wykazał inny musiał mu cel przyświecać, jak twórczy wysiłek w kierunku zjednoczenia narodu polskiego wokół zadań odbudowy kraju.

Partie robotnicze, nauczone błędami przeszłości, kiedy raz zdobytą przez lud władzę zdołała mu reakcja polska wydrzeć, słusznie odniosły się do tego pierwszego kroku politycznego Mikołajczyka z dużą nieufnością.

I okazało się, że Polskie Stronnictwo Ludowe, biorąc jednocześnie udział w rządzie, jest w stosunku do niego w opozycji. Tenże sam p. Mikołajczyk, który jest wicepremierem w Rządzie Jedności Narodowej, jest przywódcą legalnej opozycji. Takie, dwuznacznej pozycji nie zna historia narodów demokratycznych. Małe wyrobienie polityczne mas chłopskich, stworzyło pozory potęgi p. Mikołajczyka w

pierwszych miesiącach jego pobytu w kraju. Licząc na swą popularność, przy każdej okazji i on i jego zwolennicy w PSL parli przez cały okres od umowy jałtańskiej do dnia dzisiejszego do wyborów. Mikołajczyk przy każdej okazji, przy każdej trudności, jako receptę podawał, konieczność wyborów. Rząd wybory odkładał. Czy tylko względy natury politycznej przemawiały za odwleczeniem terminu wyborów? Czy tylko naturalna chęć partyj postępowych, by w dłuższym czasie przekonać masy ludowe, że jedynym przedstawicielem ich interesów jest obecny rząd, a nie zachwalane demokracje w typie zachodniej, gdzie podstawą jest ustrój kapitalistyczny? Nie. W pierwszym rzędzie troską rządu było wyprowadzenie gospodarki krajowej na tory żywotności i rozwoju, był obowiązek założenia trwałych podstaw pod odbudowę kraju

Przeprowadzone referendum ludowe stało się świadectwem aprobaty przez najlepszą część społeczeństwa polskiego polityki wewnętrznej i zagranicznej postępowego obozu demokracji polskiej. Okres miniony wykazał dowodnie, że trzeba było zaczekać z wyborami, gdyż czekały nas inne zadania. Obecnie po żniwach, które osiągnęły już 60% wydajności przedwojennej, gdy przemysł ruszył całą parą, gdy na skutek tego można było pomyśleć o podwyżce płac i zniesieniu świadczeń rzeczowych, gdy na arenie międzynarodowej Polska wykuła sobie należne jej miejsce, gdy wreszcie co najważniejsze zagospodarowano i zaludniono w stopniu możliwie najwyższym Ziemie Odzyskane, obecnie można przystąpić do wyborów. Jest rzeczą wiadomą, że okres przedwyborczy wiąże się z walką polityczną, która prowadzi za sobą chaos gospodarczy. Dlatego przed stabilizacją stosunków wewnątrz kraju, przed zagwarantowaniem praworządności, nie mogła być mowa o wyborach.

Zresztą nie była to znowu tak nagląca sprawa jak to p. Mikołajczyk i inni przywódcy PSL usiłowali przedstawić. W rządzie mają swoje przedstawicielstwo wszystkie stronnictwa polityczne.

Kilka miesięcy temu, chcąc przygotować grunt do jaknajspokojniejszych wyborów, co niewątpliwie przyczyni się do zwycięstwa Polski na arenie międzynarodowej, Polska Partia Socjalistyczna wystąpiła z propozycją utworzenia bloku 6 stronnictw do nadchodzących wyborów, biorąc za podstawę fakt, że wszystkie stronictwa przyjmują zarówno politykę wewnętrzną, jak i zewnętrzną rządu. Zaproponowano równy podział mandatów między podstawowe partie w Polsce. I tu jaskrawo uwidoczniła się samolubna polityka p. Mikołajczyka. Dla PSL zażądał on 75% mandatów, chcąc w ten sposób inne partie usunąć w cień. Interes partyjny przeważył. Dziś w świetle dalszych wypadków i coraz wyraźniejszego opozycyjnego nastawienia PSL do rządu postępu społecznego, do demokracji ludowej, stało się jasne, że chodziło o powrót do zachwalanej przez demokratów z PSL „demokracji zachodniej" to jest takiej, która jak w Anglii i Ameryce, opiera się na kapitalistycznym ustroju. Dlaczego w tych państwach i szeregu innych dotąd, choć nawet przy rządzie jest partia postępowa nie przeprowadzono podstawowych reform, któreby zniosły wyzysk człowieka przez człowieka? Dlatego, że u podstaw tej demokracji, jest ustrój kapitalistyczny, który nigdy na tego rodzaju radykalne reformy nie pozwoli.

Z tym ustrojem zerwaliśmy w Polsce bezapelacyjnie.

W referendum ludowym obrońcy demokracji zachodniej ponieśli klęskę. Okazało się, że wpływy PSL nie są tak potężne, jak sobie p Mikołajczyk przedstawiał. 3 X tak odniosło zwycięstwo. Pokazało się przy tym, że spory procent jest jeszcze elementu wstecznego w Polsce, który głosował trzy razy nie. W obliczu tego wroga wewnętrznego, związanego tysiącem nici z ośrodkami dywersji zagranicą, w obliczu tego wroga ludu powinno nastąpić zjednoczenie narodu polskiego wokół prawdziwych idei demokratycznych.

Dziś reakcja międzynarodowa ruszyła przeciwko Polsce Ludowej do ataku. Próby rewizji umowy poczdamskiej w obronie Niemiec ze strony anglosaskich kapitalistycznych demokracji uderzają w sedno interesu i kwestii „być, albo nie być" narodu polskiego. Na te próby, mamy w odpowiedzi niezbitą prawdę, ze nie o Niemcy, lecz o silną Polskę na zachodzie oprzeć się musi przyszły los i pokój Europy.

Ostateczne zwycięstwo nasze zależeć będzie znów od nas samych. Jeśli naród polski wykaże jednolitą postawę w tej kwestii, jeśli wybory nie zburzą równowagi wewnętrznej, jeśli dojdzie do porozumienia między stronnictwami, z walki tej między ludem, a wstecznictwem, wyjdziemy zwycięsko. Ufać należy, że zdrowy instynkt naszego narodu, który dobro ojczyzny ukochał nad wszelką prywatę, zwycięży.

Stronnictwo Pracy, po wyeliminowaniu elementu wstecznego wejdzie na drogę jednolitego frontu. Przyszłość niedaleka okaże, czy Polskie Stronnictwo Ludowe, w którym rdzeń stanowią demokratyczni, patriotyczni chłopi polscy, posłucha głosu rozsądku i miast walki przedwyborczej przyjmie platformę jedności w obliczu niebezpieczeństwa.

Teraz nie czas na „liczenie się", które jak wykazały referendum przyniesie przecież zwycięstwo obozowi demokracji, teraz trzeba myśleć o jednym wielkim zwycięstwie, które wszystkim partiom musi przypaść w udziale, jako kierownikom państwa, trzeba myśleć o całkowitym zwycięstwie nad międzynarodową reakcją i reakcją rodzimą, która skapituluje jedynie przed siłą, i rozsądkiem politycznym.

Irena Cianc rz-Grabowska

Tradycyjny czy radykalny?

Pragnę nawiązać do bardzo wnikliwego i bardzo rzeczowego artykułu wstępnego, zamieszczonego w nrze 16-ym „Świetlicy Krakowskiej" z dnia 15 sierpnia b. r. — Artykuł ten, zatytułowany „Katolicy radykalni", nawiązuje do mojej broszury pod tym samym tytułem, wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy i do wywiadu, którego udzieliłem przedstawicielowi Robotniczej Agencji Prasowej — Moim zdaniem Redakcja „Świetlicy Krakowskiej" oddała poważną usługę sprawie katolickiej i sprawie jedności narodowej, poruszając zagadnienie pierwszorzędnej doniosłości

Zagadnienie to obraca się koło jednej osi, koło krytyki polskiego katolicyzmu.

Zdrowej, rzetelnej krytyki nie boi się żaden rozumny człowiek, nie boi się jej również żadna poważna instytucja.

Przed laty najpoważniejszy miesięcznik polski „Przegląd Powszechny" ogłosił ankietę na temat polskiego katolicyzmu. W ankiecie tej wzięli udział najwybitniejsi katolicy, wśród nich m. in. i Henryk Sienkiewicz.

Sienkiewicz miał odwagę napiętnować braki polskiego katolicyzmu. Braki te widział przede wszystkim w postawie wyłącznie tradycyjnej naszego katolicyzmu. Ilustrował je przede wszystkim przykładem chłopa polskiego, który w olbrzymiej polskiej masie katolickiej stanowi przygniatającą większość.

Postawa tradycyjna streszcza się w przywiązaniu do pewnych form zewnętrznych, przekazywanych z poko-

lenia na pokolenie. Cechuje ją uderzająca powierzchowność, brak dynamizmu i konsekwencji, wiążącej logiczne szczytne prawdy religijne z życiem jednostki i życiem publicznym.

Postawa tradycyjna może — z biegiem czasu — przy braku kontroli i autokrytycyzmu — wyrodzić się w parodię i karykaturę. Mamy—niestety—przykłady tego zwyrodnienia koło siebie w postaci fałszywej dewocji i innych wynaturzeń religijności.

Tradycja nie jest złą sama w sobie. Bez tradycji nie byłoby kultury i nie byłoby postępu. Postęp tylko dzięki temu jest możliwy, że mamy tradycję i nie musimy zaczynać codziennie od [illegible]

Ale, jeśli ktoś nie umie nic więcej tylko jeść chleb tradycji, taki nie nadąży za nurtem życia i spóźni się do [illegible]

Przerost tradycji prowadzi do zahamowania twórczych sił, pęta je i więzi — ze szkodą dla zasadniczej treści, przekazanej tradycją. Odnosi się to, oczywiście, do wszystkich dziedzin życia. Odnosi się to również do katolicyzmu.

Antytezą przerostu tradycji jest radykalizm.

Słowo radykalny jest pochodzenia łacińskiego i wywodzi się etymologicznie od radix, t. zn. korzeń.

Kto sięga do korzenia jakiejś doktryny, ten jest radykalnym jej wyznawcą.

Kto zadowala się tylko tym, co jest na powierzchni, ten jest wyznawcą formalnym, tradycyjnym, którego nie obchodzi istota i treść, ani płynące z nich logiczne konsekwencje. Wystarczają mu przekazane tradycją formy.

Kto sięga do korzenia jakiejś doktryny, ten sięga do podstaw jej żywotności i jej prężności dynamicznej, jej elementów twórczych.

Kto nie zadaje sobie trudu sięgania głęboko, aż tam, skąd tryska życie, ten naraża się na niebezpieczeństwo, że zadowoli się zewnętrzną skorupą— jak starozakonni faryzeusze, których Chrystus przyrównał do grobów pobielanych. Porównanie przerażające, ale najtrafniejsze, jedyne. Kto bowiem zaniedba kontakt z żywą treścią i istotą doktryny, w tym zamiera ona, więdnieje i rozkłada się jak w grobie. Zostaje tylko pobielana pokrywa.

*

Zawsze, ale zwłaszcza dzisiaj — po wstrząsie i przeobrażeniach, które przyniosła ze sobą ostatnia wojna, — nie wolno nam, katolikom, ograniczać się do tradycyjnych form. Musimy sięgnąć głęboko do ożywczych krynic ewangelicznej treści, do wielkich wartości moralnych i społecznych, które mieszczą się w wielkiej i najczcigodniejszej spuściźnie Chrystusowej. Znajdziemy tam skarby nieprzebrane, przebogate.

Warto rozbić skorupę, by przebić się do samej istotnej treści...

Dlatego na pytanie: jaki katolicyzm jest nam dziś potrzebny, czy tradycyjny, czy radykalny, odpowiadamy — z całym przekonaniem — radykalny.

O taki właśnie, radykalny, woła chwila obecna.

Ks. Henryk Weryński

Anglosascy przyjaciele Niemiec

Kilka dni temu wygłosił w Stuttgarcie, w sercu Niemiec, filoniemiecką mowę podsekretarz stanu USA dla spraw zagranicznych — Byrnes. Poddał on w wątpliwość ważność uchwał poczdamskich, przyznających Polsce Ziemie Zachodnie po Odrę i Nysę. Byrnes dał nadzieję Niemcom, że granice te mogą być uszczuplone. Atak Byrnesa wywołał zrozumiałe oburzenie w całym narodzie polskim

*

Nie zgadzamy się z teologiem polskiego konserwatyzmu na emigracji Cat-Mackiewiczem co do 99% tez wysuwanych w jego pismach, są to bowiem tezy obszarnika, by chłop zwrócił mu ziemię, są to tezy fabrykanta, by robotnik dał się ujarzmić. Jedno się jednak określenie udało reakcyjnemu wichrzycielowi. Porównał on Polskę do dawnej kochanki, natrętnej kochanki, którą się namówiło do grzechu, z którą się grzeszyło, aż wreszcie stała się niewygodną i trzeba z nią definitywnie skończyć. Trzeba jej odebrać prawo i możność do życia, by nie przeszkadzała byłemu partnerowi w nowych szalbierstwach.

Tej linii Anglia konsekwentnie się trzyma. Jest to linia obrony własnych zysków. W ataku angielskim na Polskę tkwi koncepcja, że linia Odry i Nysy między germanizmem a Słowiańszczyzną nie jest idealną, gdyż zagraża „równowadze sił" w Europie. A wiadomo — brak „równowagi" uniemożliwia angielskie interwencje i zmusza do oszańcowania się poza Ka[illegible]

Dlaczego jednak Stany Zjednoczone tak zainteresowały się problemem polskim? Jest to co najmniej dziwne, jeśli uprzytomnimy sobie, że do niedawna żałowano nam miejsca nawet w urzędowych, wielostronicowych enuncjacjach, gdy chodziło o analizę europejskich zagadnień. Niedawno zmarły podsekretarz stanu USA Sumner Welles, poprzednik filoniemieckiego Byrnesa, dużo pisał o swej marcowej w 1940 r. podróży po Europie (zwiedził Rzym, Berlin, Paryż, Londyn i znów Rzym, chcąc wysondować możliwości zawarcia pokoju), lecz ani słówkiem nie wspomniał, że istnieje na Zachodzie armia polska, że stanowi znaczną siłę. Nie wspomniał, choć spotykał się z gen. Sikorskim. Ale dla politycznej moralności zachodniego dyplomaty i męża stanu była to armia bez ziemi, emigranci zaś biednymi wydziedziczonymi, którzy — jeśli coś mogą zyskać — to tylko na dogadaniu się z niemieckim napastnikiem. W tym też kierunku poszły propozycje Goeringa złożone za pośrednictwem Ciano podsekretarzowi stanu USA Sumner Wellesowi. Polska miała powstać „wolna" i „niepodległa", z wolnym dostępem do morza, ale okrojona na zachodzie z ziem „niemieckich", to znaczy z Poznania, Śląska, Łodzi... Kto wie, może by nas wtedy uraczono takim „pokojem", gdyby Niemcy nie byli rozpoczęli operacji w Danii i Norwegii, a bezpośrednio potem w Holandii, Belgii i Francji. Niemcy już nie chciały wtedy tylko Polski i Czech, sięgały po panowanie nad Europą. Misja drugiego po Hendersonie „anioła pokoju" skończyła się fiaskiem.

Ważne jest w tym wszystkim jedno — traktowano nas juz jako przedmiot, a nie podmiot. Przestano się z [illegible]

Ale teraz znów się liczymy jako realna siła i to jest nie do zniesienia dla anglosaskich kalkulatorów. Mało im granicy nad Renem, czy Łabą — chcieliby ją przesunąć nad Wisłę. Wykonanie zadania miał przygotować pan Mikołajczyk. Odpowiadamy — wtedy, kiedy czekaliśmy na was tu nad Wisłą, wyście się oddzielali od Polski Kanałami i oceanami. Wtedy, kiedy my krwawimy ręce przy usuwaniu gruzów po zniszczeniach bestii niemieckiej — wy Anglosasi uprawiacie w Niemczech politykę współzawodników, aby zarobić na uśmiech zbrodniarzy.

Polska przestała być dla Anglosasów „modną", zresztą nigdy za dużo nie zajmowaliśmy miejsca w sercach anglosaskich, — dziś i tego okrucha uczciwości zabrakło w polityce anglosaskiej... Dla „równowagi sił" muszą być wzmocnione Niemcy, „równowadze sił" szkodzi silna Polska. Szkodzi także baronom węglowym w Anglii... Słuszność ma Cat-Mackiewicz gdy porównuje Polskę do natrętnej kochanki. Nie potrzebuje już być także Polska natrętna i wyprasza sobie natręctwo zachodnich „przyjaciół".

„Murzyn" zrobił swoje, „Murzyn" wziął swoje i nie oddał". Historia się zmieniła. Trochę inaczej, niż ją próbował tasować Sumner Welles, i jak ją stara się przeobrażać Byrnes...

Wł. Machejek

UNIWERSYTET LUDOWY CHRZESTNEGO SOLARZA
w Gaci pow. Przeworsk

rozpoczyna jesienno-zimowy pięciomiesięczny kurs dla młodzieży męskiej i żeńskiej ze wsi 10 października. Od kandydatów wymagane są: ukończony wiek u chłopców 20 lat, dziewcząt 18 lat, życiorys własnoręcznie napisany z podaniem ukończonych klas szkoły powszechnej lub innej, pracy samokształceniowej, oraz udziału w pracy społecznej, względnie w podziemnej za okupacji. Do zgłoszenia winno być dołączone poświadczenie Koła Młodzieży, lub innej organizacji społecznej, której kandydat jest członkiem, stwierdzające prawdziwość danych w życiorysie i wyrażające opinię. W wypadku gdy organizacja ma zamiar pomóc kandydatowi subwencją, potrzebne jest pisemne zobowiązanie z wymienieniem kwoty. Równocześnie z podaniem należy przesłać 200 zł tytułem opłaty wstęp[illegible]

Zgłoszenie i zapytania adresować: Uniwersytet Ludowy Chrzestnego Solarza w Gaci p. Markowa koło Łańcuta. Najbliższa stacja kolejowa Rogóźno lub Przeworsk.

DZIAŁ LITERACKI

TADEUSZ ROWIŃSKI

Jak powstała i rozwijała się książka?

Gdy idziemy dzisiaj przez ulice miasta czy miasteczka, co chwila wzrok nasz pada na witryny księgarskie, z których wzywają nas przeróżne wydawnictwa książkowe — ozdobne i zwykłe, wytworne księgi i szare broszury, wielotomowe encyklopedie i cienkie, jednotomowe powieści, dzieła naukowe i rozrywkowe. Co chwila też słyszymy z jakiegoś domu szum maszyn drukarskich, widzimy zadrukowane płachty papieru — gazety, afisze — to wszystko, co składa się na produkcję tego olbrzymiego przemysłu, jakim jest drukarstwo i wydawniczość książkowa. Pozatem widzimy wypożyczalnie, czytelnie publiczne, biblioteki firm, fabryk, przedsiębiorstw i zbiory książek prywatne, olbrzymie sanktuaria książki jak krakowska Biblioteka Jagiellońska, gdzie przechowywane są wydawnictwa od najdawniejszych do bieżących. Po mniejszych osadach i wsiach spotykamy czytelnie gminne i książki, które w nielicznych egzemplarzach krążą od ręki do ręki.

Nie możnaby sobie wyobrazić życia bez książki. Jest ona naprawdę najwierniejszym naszym przyjacielem, bo jest nam na zawołanie, wtedy, gdy jej potrzeba, gdy jesteśmy samotni, zmęczeni, gdy mamy czas na tę najmilszą rozrywkę. Człowiek współczesny nie mógłby obejść się bez książki, bez słowa drukowanego i wiemy, że w okresie upłynionej strasznej niewoli do jednych z najgorszych męczarni psychicznych zadawanych przez Niemców należało pozbawienie książki tych, którzy dostali się do więzień i obozów. Tam zaś, gdzie można było na mocy specjalnych praw wprowadzić książkę, tworzyły się biblioteki, które były osłodą życia obozowego, jak naprzykład biblioteki w Oflagach.

Zabrać dzisiejszemu człowiekowi książkę byłoby jednoznaczne z zapędzeniem go w głąb dalekiej przeszłości, w stan napół zdziczenia. Książka uczy nas i bawi całe życie, od pierwszych książeczek dziecinnych, które chłoniemy jako mali, wstępujący dopiero w życie, przez książki szkolne lat nauki, podręczniki coraz więcej treściwe i skomplikowane szkół wyższych i fachowych, aż po wszystkie te książki, które potem przez dziesiątki lat towarzyszą nam przez całe życie. I wszystko jedno czy to będą książki naukowe, czy beletrystyczne, powieści, poezje, opowiadania podróżnicze czy historyczne — zawsze książka jest z nami i musi być z nami, bo człowiek, który nie uznaje książki w swym życiu, prowadzi je ubogie, beztreściwe, nudne i jednostronne, zajmując się tylko zwierzęcą stroną swego bytowania — troską o chleb i prymityw życia.

Zajrzyjmy do opracowań encyklopedycznych, by dowiedzieć się, jak powstała książka w zamierzchłej epoce dawnych wieków, zanim stała się tak bliska i dosięgalna, jak jest nam dzisiaj w księgarniach, bibliotekach i czytelniach.

Drukowanie książek — czytamy w Encyklopedii Gutenberga — jest wynalazkiem starym, najstarszym w Chinach, gdzie uzyskiwano większą ilość egzemplarzy jednego tekstu przez odbijanie z kamieni, w które tekst ów wkuwano. Znacznie później, jednakowoż bardzo już wcześnie (od VI wieku) sporządzano w Chinach odbitki z desek (druk drzeworytowy). Druk przy pomocy liter ruchomych wynalazł chiński kowal Pi Szeng w roku 1041. W Europie sztukę drukowania wynaleziono w połowie XV wieku. — Laurent Coster w Harlemie wynalazł najpierw odlewanie poszczególnych czcionek, Jan Gutenberg zaś sporządził potem matrycę metalową, jemu też udało się wykonać ręczny przyrząd do odlewania, który stworzył podstawę dla sztuki drukarskiej ułatwionej i jej praktycznego zastosowania.



Zróbmy tutaj małą dygresję. Oto wszystkim jest popularnie wiadomo, że druk wynaleźli Niemcy. O tę niesłuszną reklamę postarali się Niemcy, którzy umieli zawsze rozgłaszać swe wynalazki, najczęściej jednak strojąc się w cudze piórka. Chcieli zawsze uchodzić za najkulturalniejszy naród świata — ale my, Polacy, wiemy dobrze, co sądzić o niemieckiej kulturze. Lata okupacji nauczyły nas dobitnie, czem jest osławiona kultura „nadludzi". Jak z powyższego krótkiego rysu historycznego wynika, pierwsze czcionki wynaleziono w Chinach, a udoskonalone, na europejską modłę sporządził Coster, który był Belgiem. Gutenberg, Niemiec, udoskonalił owe wynalazki. Niemcy więc oczywiście nie mają i na tem polu słuszności, gdy głoszą, że kolebką drukarstwa i książki jest ich „kulturalny" kraj.

Od czasu udoskonaleń gutenbergowskich, sztuka drukarska zaczęła się gwałtownie rozwijać, wkrótce przedostała się za granice Niemiec, naprzód do Włoch, potem do Francji, Anglii, Polski, wszędzie znajdując nowe udoskonalenia i rozwój.

Interesuje nas przede wszystkim rozwój drukarstwa w Polsce. Pierwszym drukarzem polskim był Kasper Hochfeder, spolszczony Bawarczyk, w Krakowie w roku 1473, pierwszy druk wykonany w Polsce, to jego kalendarz na rok 1474. Od tego roku datuje się szybki rozwój drukarstwa w Polsce z miejscowymi udoskonaleniami i nowymi pomysłami drukarzy krakowskich jak Jan Haller, Hieronim Wietor czy Maciej Szarfenberg. W drugiej połowie XVI wieku sztuka drukarska promieniująca z Krakowa rozwija się i w innych miastach Polski jak w Poznaniu, Wilnie, potem w Warszawie. Do roku 1500 wydrukowano w Polsce około 30 tysięcy dzieł. Te wczesne druki nazywają się inkunabułami, można je oglądać w bibliotekach polskich, których zbiory nie zostały zniszczone przez Niemców i spalone. Najwięcej inkunabułów zachowało się w Bibliotece Jagiellońskiej. Niemcy jednak — poza tym, że zniszczyli i spalili wiele bezcennych zabytków piśmienniczych w bibliotekach w Warszawie, wiele cennych zabytków wywieźli. Powoli są one odnajdywane na terenach b. Trzeciej Rzeszy i powracają na swe prawowite miejsce — do Polski.

Pierwsi drukarze polscy byli zarazem księgarzami-wydawcami. Do powyżej cytowanych nazwisk dołączyć trzeba późniejszych wybitnych księgarzy-wydawców polskich, krakowian Macieja Wierzbiętę, Łazarza Andrysowicza i jego syna Jana Łazarza Januszowskiego, wydawcę utworów Jana Kochanowskiego, następnie Jędrzeja Piotrkowszczyka i innych. Herburt w Dobromilu jest wydawcą Jana Długosza, niektórzy możnowładcy otwierają własne drukarnie, jak na przykład Radziwiłłowie, Ostrogscy i inni. Za ostatniego króla polskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, ośrodkiem wydawniczym staje się Warszawa, gdzie zasłynął księgarz Michał Groell. Po rozbiorach książki polskie ukazują się za granicami kraju, w Paryżu, Londynie, Genewie, Lipsku.

JAN JERZY

W ŚWIETLICY

Pogarbieni siedzą ludzie,
ręce twarde, zwykłe trudu —
przyszli dziś tu po pracy
trochę z chęci, trochę z nudów.

Tu gazeta zaszeleszcze,
a tam książka w czarnej dłoni —
sponad karty wzrok strudzony
czasem w oddal gdzieś pogoni.

Czasem w ciszy czytelnianej
pierś podniesie się westchnieniem,
czasem uśmiech spłynie z wargi
jak najsłodszych snów wspomnienie.

Twarde palce gładzą karty,
czas w oddechu chwil ucieka —
tutaj sojusz jest zawarty:
przyjaźń książki i człowieka.

Po poprzedniej wojnie światowej księgarstwo polskie rozwinęło się pięknie, przyczym Warszawa królowała jeśli chodzi o ilość książek wydawanych — Kraków zaś, jeśli chodzi o piękne i artystyczne druki. Niemcy zniszczyli podczas okupacji wiele polskich zakładów drukarskich a także wiele bibliotek i książek z prywatnych zbiorów i księgarń. Obecnie, od przeszło roku obserwujemy powrotny rozwój książki polskiej.

Na tym polu są olbrzymie braki, bo nie od razu można zapełnić potworne szkody wyrządzone przez Niemców. Dzieci szkolne nie mają podręczników, akademicy książek naukowych, wszyscy dorośli dostarczającej ilości książek do nauki i rozrywki. — Ale ruch wydawniczy postępuje stale naprzód, rozwija się pięknie i dzisiaj już możemy pochwalić się ilością około 2 tysięcy książek z wszystkich dziedzin, które ukazały się w Polsce po okupacji przy wielkich trudnościach papierowych i technicznych.

Większość obecnego ruchu wydawniczego w Polsce znajduje się w zakresie pracy spółdzielczej. Do największych i najruchliwszych wydawnictw spółdzielczych należą spółdzielnie „Wiedza", „Książka", Spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik" w Warszawie i Spółdzielnia księgarska „Czytelnik" w Krakowie. Pozatym działają niektóre stare firmy wydawnicze polskie jak Gebethner i Wolff, Michał Arct, S. A. Krzyżanowski, L. J. Jaroszewski i nowe jak Awir, Oficyna Księgarska, M. Kot i wiele innych.

Czytelnictwo książki jest sprawdzianem kultury społeczeństwa. Starajmy się wszyscy o to, by książka stała się najniezbędniejszym towarzyszem. Kupujmy książki do naszych bibliotek domowych — mieszkanie bez najmniejszej choćby półki z książkami jest mieszkaniem smutnym, pustym i niekulturalnym. Abonujmy książki w wypożyczalniach, korzystajmy z publicznych bibliotek i czytelni, z księgozbiorów świetlicowych, które powinny wzbogacać się co miesiąc o nowe, cenne dzieła naukowe i rozrywkowe.

Tadeusz Rowiński

ZDZISŁAW WRÓBLEWSKI

Książka w obozie

Jedynymi prawdziwymi książkami, z jakimi przez długi czas spotykaliśmy się w obozie w Gusen, były książki niemieckie, których nikt prawie nie czytał, gdyż żaden z nas nie potrzebował innej propagandy hitlerowskiej nad tą, która nas otaczała.

Jedyną namiastką książki były przez długi czas krążące po obozie kartki papieru z odpisanymi wierszami Mickiewicza, Słowackiego, Kasprowicza, Lechonia, Tuwima i głównie Broniewskiego, którego poezja w obozie nabierała specjalnej wymowy.

Głód słowa w obozie był ogromny, nieomal każdą chwilę wolną od morderczej pracy, spędzało się na pogadankach i dyskusjach.

Po założeniu orkiestry obozowej zaczęliśmy w obozie robić pierwsze wieczory autorskie. Było nas kilku piszących w obozie, o różnym talencie i różnych możliwościach. Rozpiętość pomiędzy wartością wierszy siedzącego z nami Grzegorza Timofiejewa a wierszami młodego Miecia Paszkiewicza, była ogromna.

Wszystkie one jednak były wysłuchiwane w obozie z równą powagą. Wieczory poetyckie w Gusen były przedsięwzięciem ryzykownym, treść wierszy kwalifikowała się na szubienicę w świetle oceny esesmańskich władz. Pomimo jednak niebezpieczeństwa, wieczory odbywały się przy każdej okazji. Czytano te wiersze w ciemnych zakątkach bloków i pośród uliczek obozowych, nawet w ustępach nocą. Nasze maleńkie pisane ołówkiem tomiki docierały na każdy blok i dawały ludziom to, co im było najpotrzebniejsze, siłę do wytrwania wbrew wszystkim warunkom. Jakże często ludzie dorośli, którzy całe życie uważali poezję za coś całkowicie zbędnego, wsłuchiwali się aż do bólu w recytowane strofy nieudolnych często wierszy, i z uporem w tym świecie mordu i przemocy wierzyli, że „jest gdzieś życie piękniejsze od wierszy i jest miłość i ona zwycięży".

Bardzo wyraźnie pamiętam ten dzień wrześniowy 1944 roku, kiedy po powrocie z pracy jeden z mych przyjaciół obozowych pracujący w t. zw. „Effektenkammer" czyli w magazynie zabranych więźniom prywatnych rzeczy, wcisnął mi w rękę książeczkę z tajemniczym uśmiechem. Na bloku wgramoliłem się szybko na najwyższe (trzecie piętro) pryczy, gdzie byłem względnie niewidoczny i otworzyłem książeczkę. Były to dwie pierwsze księgi „Pana Tadeusza". Nigdy przed tym, ani po tym nie przeżyłem takiego wzruszenia, przy czytaniu jakiejkolwiek książki.

Po latach najstraszliwszej poniewierki, jakiej oddać nie potrafi żadne pióro, pod obcym austriackim niebem zwisającym ciężko nad miejscem mordu i śmierci, słowa Mickiewicza wpadały wprost w serce. Były samą Polską. Niosły zapach polskiej ziemi, łąk i lasów.

Jaką drogą dotarła ta książka do obozu Gusen? Czy żył ten człowiek, który ją zabrał ze sobą? Jakim cudem uniknęła chciwych esesmańskich łap? nikt z nas nigdy się nie dowiedział.

Podzielona na księgi, aby ją łatwiej było przenosić, wędrowała razem z naszymi małymi tomikami z rąk do rąk. Dotarła dalej niż pod strzechy, dotarła do najbiedniejszych, do najbardziej pokrzywdzonych na ziemi, za druty koncentracyjnego obozu i pełniła największą rolę: umacniała serca.

Widziałem jak starzy więźniowie, którzy widzieli miliony śmierci, przeżyli głód i tyfus i największe poniżenia twardo i bez wzruszenia, płakali jak dzieci, słuchając tych wierszy.

Były potem jeszcze dwie czy trzy broszurki po polsku pisane, które wielu z nas przeczytało od deski do deski, naszą jednak zaś największą zdobyczą były te cienkie książeczki: podzielony na kilka zeszytów „Pan Tadeusz".

Wyszedł on z nami z obozu i dziś nie wiem co się z nim dzieje, czy wrócił do kraju, czy krąży gdzieś na błędnych szlakach najtragiczniejszej z polskich emigracji.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

Pociecho moja, ty książeczko...

Pociecho moja, ty książeczko,
pociecho smutna;
nad małą siedzę schylon rzeczką,
z wód igrające falą dziecko,
żal mroku skrada się zdradziecko
nad łąkę, rzeczkę, nad mój strumień,
w duszącej mgle nieporozumień
zapada noc okrutna.

Pociecho moja, księgi moje,
schylony w karty ksiąg patrzę,
od kart tych patrzę w wód rozwoje,
z ksiąg karty rzucam w fale twoje,
o morze, morze wód olbrzymie,
a tylko fal powrotne rzuty,
w czas wód rozgwaru, w wód skłębieniu,
na brzeg rzucają, kędy siedzę,
z ksiąg, co przepadły w zapomnieniu,
wydarte z kart twych moje imię,
nic więcej, tylko własne imię.
Znikąd okrętu, znikąd łodzi,
a rośnie fala powodzi.
Ha! tam — jest łódź! — tam — ktoś — przewodzi,
tam, na dalekim kresie,
o, bliżej, bliżej już — fala go niesie,
to nie powódź — to przypływ — wał bije,
jęk złowrogi — ha! mordują — orkan wyje — —
Gdzie łódź?! czy fala schłonie ją okrutna — ?
o księgo — oczy patrzą — w wód roztoczy —
o księgo — serce — oczy —
pociecho smutna.

ZUZANNA FRIST

Literatura na Syberji

Książka jest wielkim skarbem w życiu człowieka. Trudno nam dzisiaj wyobrazić sobie świat i człowieka bez książki, która stała się uosobieniem intelektu, nauki i wreszcie rozrywki. Często w ciężkich momentach naszego życia zwracamy się ku tej niezawodnej pocieszycielce. Książka staje się dla nas wtedy nie tylko ukojeniem i wypoczynkiem, ale drogowskazem na twardej drodze życia. Nic też dziwnego, że od najmłodszych lat człowiek stara się wokół siebie zgromadzić jaknajwięcej książek wśród których wypoczywa, uczy się i tworzy.

Wojna nauczyła nas wielu rzeczy. Nauczyła nas także jak należy oceniać książkę.

Cicha wioska syberyjska na dalekiej północy stała się moim nowym domem. W maleńkim zapomnianym osiedlu, na krańcu świata przebywało kilka zaledwie rodzin polskich, ludzi o steranych niedawnymi przeżyciami wojennymi nerwach.

Najgorszą plagą na dalekiej północy był brak polskiego słowa. Nie było ani gazet, ani książek polskich, co dawało się szczególnie we znaki podczas długich wieczorów zimowych. Zebrani w jednym z domów marzyliśmy o książce. Jedyną rzeczą, którą posiadaliśmy były strzępki starej gazety, które chowaliśmy niczym najdroższe relikwie.

Pamiętnym był dzień, w którym ujrzałam pierwszą polską książkę. Jeden z współziomków otrzymał paczkę książek od przyjaciół. Dokładnie przypominam sobie tę małą, ciężką paczkę w szarym opakowaniu. Trzymałam ją przez chwilę pełna podniecenia.

„Napewno Mickiewicz" — powiedział szczęśliwy odbiorca — „a gdyby tak jeszcze Balzac"...

Przy rozpakowywaniu brała udział cała „Polonia". Każdy niecierpliwił się, marzył i cieszył — cieszył się, że będzie czytał polską książkę! I nawet nie było zbytniego rozczarowania, kiedy zamiast wytęsknionego Mickiewicza i Balzaca wyłoniła się... Zarzycka i... Marczyński. To drobnostka, nam chodziło przecież tylko o polskie słowo drukowane.

Książki, a było ich osiem, zostały rozdzielone pomiędzy wszystkich. Każdy miał prawo czytać tylko jeden dzień, — chcieliśmy, aby wszyscy byli jednakowo obdarzeni łaskawym losem i mogli nacieszyć się polską książką. Ze wzruszeniem i zapałem zabrali się rodacy do czytania. O zbytnim zapale świadczyć może to, że po kilku dniach w książkach brakowało całych rozdziałów. Twierdzono wprawdzie, że to „ząb czasu" zrobił swoje, że kartki powypadały ze starości — ja jednak wiem, że każdy chował sobie na pamiątkę po kartce. Nie przeszkodziło to bynajmniej w kursowaniu wyniszczonych i „wyżartych" książek. Powodzenie ich było nadal nadzwyczajne, a zainteresowanie nami nie zmniejszyło się zupełnie. Ustało ono dopiero wtedy, gdy cała „Polonia" upoiła się już „namiętnymi" pocałunkami Zarzyckiej i „niezwykłymi" przygodami Marczyńskiego. Wtedy zapał ochłonął. I tylko w głębi duszy każdy marzył o czymś naprawdę dobrym.

I doczekaliśmy się. Do naszej skromnej biblioteczki przybył „Pan Tadeusz". Po godzinach pracy zebraliśmy się wszyscy, aby odpowiednio uczcić wielkiego gościa. Przejmująco brzmiał w głuszy syberyjskiej drżący ze wzruszenia głos recytatorki, odczytującej inwokację.

Lata płynęły. Z biegiem czasu zaczęto wydawać w Moskwie polskie gazety. Dzięki staraniom „Związku Patriotów Polskich" ukazały się kolejno zbiorki poezji Mickiewicza, Słowackiego i Tuwima, a także nowele Żeromskiego, Orzeszkowej, Prusa i Sienkiewicza.

Wiele przeżyliśmy radości, wzruszeń, kiedy ujrzeliśmy po raz pierwszy tomik poezji Mickiewicza wydany w Moskwie.

Kiedy skończyła się wojna, mogliśmy wrócić do ojczyzny, aby dowoli nacieszyć się i nasycić polskim słowem. Dzisiaj przechodząc przez miasto kuszące tysiącem księgarń i wabiące niezliczoną ilością bibliotek, trudno jest uwierzyć, że był okres kiedy nie wiedziałam jak wygląda polska książka, że świętem był dla mnie dzień kiedy czytałam „Tajemniczą wyspę" — Marczyńskiego.

WITOLD ZECHENTER

Ta była pierwsza...

Ta była pierwsza —
na okładce kudłaty, wielki Bryś —
w kilku obrazkach, w kilku wierszach
weszła w me życie książka pierwsza,
którą pamiętam do dziś.

A potem
różne, różne były.
Księżniczki w nich płakały w smutkach,
rycerze w zbrojach lśniących złotem
i czarodziejek leśne siły
i baśń o ziemnych ludkach.
I był Kosturek, wiedźma dzika
i był Robinson w skrócie,
przygody świerszcza, pajączka,
w siedmiomilowym podróż bucie,
żółta ciżemka i Ben Hur,
duch puszczy, bajki Andersena,
Verne, Przyborowski, szklany mur
i wyspa skarbów, której nie ma.

Wiedy — o, wiedy! Świecie! świecie!
wiedy — o niebo! o przestworze!
w snach nadchodzących, w mgieł wieczorze
na księżyc marzeń wiodły ścieżki,
w dno lasu po zaklęte kwiecie,
do głębi mórz, w świat czarodziejski,
wszędzie, gdzie tylko książki strony
rzucały czar niewysłowiony.

Dziś — w mym pokoju rzędy półek,
setki się książek na nich kładą —
lecz próżno okiem bodam czułem,
zmęczonem sercem nadaremnie,
ażeby była w nich choć jedna,
które wspomnieniem wciąż są we mnie...

Więc myślą bladą
jak dziś
tęsknota ma powszednia
pamiętam wciąż, że na tej pierwszej
był wielki Bryś,
a wewnątrz kilka wierszy...

JERZY DANKIEWICZ

Poezja pod okupacją

Tomiki przedwojenne, wygrzebywane gdzieś z zakątków księgarni i antykwariatów... Gorączkowe czytanie...

To były początki, to było pierwsze moje zetknięcie się z poezją. Było to jednak mało. Przeżycia, jakie przyniosła wojna, żądały innego odbicia w poezji, nie takiego, jakie dawano wypadkom w ostatnim dwudziestoleciu. Tylko kilku „przedwojennych" poetów stanowiło wyjątek.

Nic więc dziwnego, że rozglądałem się uparcie za czymś nowym, za czymś naprawdę *współczesnym*. Nie prędko jednak udało mi się nawiązać kontakt z podziemnym życiem literackim Krakowa. Nie znając miasta (przed wojną mieszkałem w Poznaniu), nie znałem stosunków i ludzi. Czasem tylko

jakiś przygodnie schwycony wiersz, jakaś publikacja — i znów wielodniowa przerwa.

Dopiero z końcem 1943-go roku, przez kolegów biurowych nawiązałem łączność z poetyckimi środowiskami. Dotarły do mnie echa wieczorów rackich, tak zwanych „pierwszych niedziel miesiąca", urządzanych głównie w domu *Heleny i Zofii Wielowieyskich*. Dostałem wreszcie odpisy głośnych już w całym mieście wierszy wojennych *Juliana Przybosia*. Potem utwory *Filipowicza, Żukrowskiego Ożoga* i innych.

Poznałem też publikacje poetyckie *Adama Włodka* i *Tadeusza Jęczalika*. Zaznajomiwszy się z tymi poetami, dowiedziałem się, że są jedynymi w Krakowie wydawcami książek poetyckich. Książek sporządzanych przez nich w maszynopisach, w trudnych i skromnych warunkach, gdy dwu ludzi było wydawcami, drukarzami i często jedynymi kolporterami.

A teraz krótki bilans: w samym tylko roku 1944 wydano około trzydziestu książek poetyckich autorów znanych już przed wojną czy też w czasie wojny w literaturę wstępujących. *Julian Przyboś* (3 tomy, między nimi pierwsze wydanie drukowanego potem w wolnym Lublinie zbiorku „Póki my żyjemy", oraz pierwsze wydanie znanego dziś „Miejsca na Ziemi"), *Helena Wielowieyska, Kornel Filipowicz, Jerzy Lau, Zofia Żytyńska, Tadeusz Jęczalik, Adam Włodek*. W ostatnich dniach przed oswobodzeniem Krakowa przygotowano do wydania tomiki *Ignacego Fika* (zamordowanego przez Niemców na Montelupich), *Józefa Andrzeja Frasika* i *Artura Marii Swinarskiego*. W sierpniu 1944, w dniach najostrzejszych łapanek rozeszła się po mieście *Antologia wojennych wierszy poetów krakowskich*, a w nich między innymi utwory nieobjętych tomikami autorów: *Tadeusza Kwiatkowskiego, Witolda Zechentera, Wojciecha Żukrowskiego*.

Nie zapomnę nigdy epizodu, jaki wydarzył się w związku z wydrukowanym w początkach stycznia 1945 moim *„Arkuszem poetyckim"* (bo i taki rodzaj publikacyj istniał). Adam i Tadek szli do mnie z całym „nakładem" odbitego arkusza. Po drodze, przy Poczcie Głównej, przykra niespodzianka: legitymowanie i rewizja osobista. Nie ma gdzie skręcić, (tu patrol, tam patrol — otwarty plac!) Starczyło tylko czasu na ulokowanie zawartości teczek w stojącej przed gmachem ciężarówce, (zbawczy mrok!) Tak wiersze moje „rozeszły się" w najbardziej oryginalny sposób. Ocalały tylko cztery dosłownie egzemplarze wymienionego arkusza poetyckiego, zostawione przez obu przyjaciół w domu.

Dziś z uśmiechem i uczuciem ulgi, że to wszystko bezpowrotnie minęło, wspominać możemy groźne wtedy wydarzenia. Pięknie wyraził nasze myśli *Jan Wiktor* na pierwszym zebraniu Związku Literatów, z końcem stycznia 1945 w Krakowie: „Wychodzimy z podziemi, wracamy do swoich nazwisk..."

My młodzi tworzymy swoje nazwiska.

Jerzy Dankiewicz

JANINA LIPSKA

Halina Górska

19 września 1942 Halina Górska została aresztowana we Lwowie przez Gestapo, oderwana od chorego męża i małej córeczki, a dziesięć miesięcy potem wywieziona za miasto i rozstrzelana. Tak straciliśmy jeszcze jednego człowieka, niezastąpionego, jako obywatel, społecznik i literat.

Za czasów carskich, Górska, jeszcze jako dziewczynka, była uczennicą na kursach konspiracyjnych Stefanii Sempołowskiej, tej niezwykłej, bezgranicznie odważnej działaczki społecznej i myślicielki, łączącej w sobie namiętność z rozumem, uczucie z wiedzą, myśl z czynem. Na Górskiej, młodej naturze wrażliwej i nawskroś uczuciowej, wywarła Sempołowska wpływ wielki i trwały. Dzięki niej Górska, pomimo swej skłonności do sentymentalizmu, a nawet do pewnej egzaltacji, wyrobiła w sobie dzielność, a, jeżeli chodzi o twórczość literacką, jędrność i równowagę stylu.

W ustroju przedwojennym wszelkie społeczne poczynania jednostek, czy nawet ugrupowań jednostek, wszelkie akcje, walka z bezrobociem, z nędzą, z krzywdą dziecka, — kończyły się na filantropii. W swych „Ucieczkach" Górska pisze: „Dziśiaj niepodobna uczynić dla ludzkości niczego więcej prócz tego, że się wśród chaosu — trwa. Dla tych, którzy cierpią, można mieć tylko słowo ludzkiego współczucia i doraźną pomoc." Dla poważnie rozumiejących obowiązki społeczne, filantropia jest klęską, tak moralnie, jak i praktycznie. Górska przeżyła, i to ciężko, wiele bolesnych rozczarowań. Na pewno także i stąd pochodzi głębia jej dzieł, pod płynnym stylem, lekkim w czytaniu. Poznanie człowieka przez nią osiągnięte jest gruntowne, wielostronne i gorące: konsekwencje, które z tego poznania wyciąga są i tragiczne, i, w tym samym czasie, pocieszające. Pocieszające, — bo potwierdzają, że natura ludzka nie jest zła, że błędy, winy, nawet zbrodnie, to tylko uleczalne psychiczne ułomności, powodowane warunkami; że, jednym słowem, może i powinno być inaczej, lepiej. Ale stwierdzenie tego jest też i tragiczne, bo, choć Górska zachowała wiarę w ludzkość, nie miała wtedy nadziei na szybką zmianę warunków, czuła swoją bezsilność i wiedziała, że tymczasem ci ludzie są skazani. I to rodzi w niej bunt. Przejawia się we wszystkich jej utworach; wszędzie spotyka się odważny realizm, rzeczowy ból, opanowaną namiętność. Miejscami specyficzny dowcip, bolesny, głęboki, rzadko pogodny. Np.: Dobroczynna paniusia zwiedzająca świetlicę, kosztuje marchew, którą dzieci muszą jeść na podwieczorek i „przełknąwszy z trudnością łyżeczkę, próbowała wmawiać, że „to jest do-sko-na-łe, naprawdę do-sko-na-łe"...

„I czyż można się nam dziwić, że w końcu mieliśmy tego dosyć i że jednej takiej zachwyconej naszym podwieczorkiem pani naładowaliśmy pełną miskę marchwi i zaczęliśmy ją zapraszać z taką natarczywością, żeby zjadła, że dama poczerwieniała, a później posiniała z wściekłości..." („Nad czarną wodą").

W „Ucieczkach" podobna paniusia zapytuje biedną kobietę, czy nie poczuwa się do żadnej wdzięczności: ta jej odpowiada:

„Nie ja pani, ale pani mnie masz być wdzięczna! Bo żeby takich pań, jak pani nie było, toby mnie było lżej żyć, ale jakby mnie nie było, to dla kogobyś pani była dobrodziejką?..."

W „Drugiej bramie" dziewczynka z inteligenckiej, zamożnej rodziny wstydzi się wobec małych przyjaciół z podwórka swego dobrobytu; żeby się do nich upodobnić, nie oddaje bucika do szewca, ale ogląda z dumą przeciekającą podeszwę i mówi, jak może najgłośniej: „Cieknie, chowa!"

Choć Górska wciąż o jednym myśli, do jednego zdąża i nad jednym boleje, jest dość dzielną, by nie wpaść w depresję i jednolitość nastrojową. Przeciwnie, cechuje ją żywotność i życiowość. Dlatego też jest tak plastyczna i interesująca. Nie ustawia szczegółów w obrazy wyraźnie narzucające się czytelnikowi, ale kierowana instynktem literackim, maluje syntetycznie, na gorąco, dając niezapomniane przeżycia, tak uczuciowe, jak i estetyczne.

Jedna z najbardziej znanych jej

SZCZĘŚCIE

W mym pokoju — jak zawsze i wszędzie —
są uśmiechy, zwątpienia i troski —
ale ile razy tylko pragnę
mogę mówić z Stefanem Żeromskim.

Mogę mówić z Leopoldem Staffem
i pogwarkę uciąć sobie bliską
albo z Prusem smutnie uśmiechniętym,
albo z starą Marią Konopnicką.

Nie pytając, czy tego chcą oni,
mogę mówić z sercem całkiem szczerym
z odgrzebanym z lat dawnych Szekspirem,
z legendarnym przeszłości Homerem.

Tych przyjaciół liczę na tysiące,
na tysiące wiernych, bliskich słów —
mówię z nimi, kiedy tylko pragnę,
to odchodzę, to powracam znów.

Jak przyjemnie jest pogwarzyć z Boyem
albo w wieczór pusty i bezpański
ze Słowackim pomówić żarliwie
i w pokorze z Stanisławem Wyspiańskim

To są wszyscy moi przyjaciele
wierni w życia trudnego zaułkach,
zawsze ze mną i zawsze najbliżsi —
książki moje... nieme książki w półkach...

W. Z.

książek, to: „Nad czarną wodą". Opisuje tam przeżycia kilku chłopców ze świetlicy na Czerniakowskiej w Warszawie, tworzących „Zakon Błękitnych Rycerzy" zjednoczonych w krucjacie przeciwko złu, ciemnocie, krzywdzie, kłamstwu, obłudzie. W dziele tym wyraża też swoje credo pedagogiczne. „Tendencją moją jest nauczenie młodzieży szacunku dla własnych poczynań, dla samej siebie". A dalej: „Nie wierzę w istnienie Prawdy dla dzieci, Prawdy dla młodzieży i Prawdy dla dorosłych. Prawda jest tylko jedna!"

Trzeba tu wspomnieć, że Górska kierowała we Lwowie świetlicą, i że oczywiście jej świetlica była najlepiej postawiona, pomimo ciągłych zatargów z sanacyjnymi władzami.

„Druga brama", najpogodniejsza książka Górskiej, choć też bolesna, to zetknięcie się, a następnie zbliżenie dwóch światów, mieszczańskiej, zamożnej inteligencji i ludu żyjącego w ciężkich warunkach.

„Barak płonie", w dwóch częściach: „Ślepe tory" i „Ucieczki", — to głęboko i szeroko ujęte przeżycia mieszkańców suteryn przy ulicy Dekerta, wnikliwe ujęcie rzeczywistości, jej przyczyn i skutków; zaś równolegle są ta poruszana problemy garstki inteligencji, wciągniętej do akcji walki z nędzą i krzywdą społeczną.

Górska pracowała właśnie nad nową, długą i poważną powieścią, gdy pracę przerwała wojna i tragiczna śmierć.

Na zakończenie jeszcze słowo o jej literackim stosunku do ludzi. Wielu jest pisarzy, których cechuje umiłowanie i uszanowanie człowieka. Nie można oczywiście powiedzieć, że Górska przewyższa w tym innych; tylko u niej objawia się to w charakterystyczny sposób. U innych pisarzy, w chwili tworzenia przeważa postawa twórcza: stają się rzeźbiarzami, w rękach, których żywe postacie, służące za model, przetwarzają się, a w każdym razie podlegają stosunkowi dystansu uczuciowego. U Górskiej ten dystans jest minimalny: wobec postaci, które stwarza, nie jest ona twórcą przed tworzywem, ale po prostu człowiekiem przed człowiekiem. Literackie wyniki tego stosunku są dodatnie: postacie i sytuacje tchną takim życiem i siłą, że po pewnym czasie czytelnik nie pamięta, czy je poznał w czytaniu, czy też na prawdę spotkał w życiu.

Helena Boguszewska, w swoim „Wspomnieniu o Halinie Górskiej" (z książki: „Ludzie wśród ludzi") pisze [illegible]

„Chociaż znajdą się może więksi od niej artyści słowa, to nie wiem, czy od czasu Żeromskiego znajdzie się taki, który by z większą siłą współczucia, z większą namiętnością i rozpaczą wołał o krzywdzie, budził ludzkie sumienia".

Janina Lipska

Odbudowa Warszawy hasłem każdego Polaka!

STANISŁAW KWIECIŃSKI

KSIĄŻKA

Zbił mnie dzień i czas mijający,
jakże bardzo zranili mnie ludzie —
idę krokiem błędnym przez ulice,
zgubiony, samotny [illegible] zły...

Jak dotkliwie odczuwam, tęskniący,
zapieczone pod sercem łzy,
dni spędzone w bezowocnym trudzie,
pustkę życia jakże czuję dzisiaj...

Wracam do domu,
chcę rzucić już to wszystko,
co było bliskie mi i drogie,
co skaleczyło mnie,
co odpędziło mnie,
żem jest jak żebrak pod swym własnym progiem.

I nagle pada wzrok
na książki.
Stoją w półce, leżą na biurku, czekają

Biorę jedną i przewracam karty —
zaczynam czytać i powoli
wkraczam w świat inny, przez książkę otwarty
i zapominam, że było to smutne,
puste, okrutne to wszystko, co boli...
I czytam, wzmacniam się, krzepnę na nowo
[illegible]
że wyjdę z podniesioną głową
do życia
w nowy dzień!

WIESŁAW GORECKI

Odlot

Łomot serca nie ustawał. Wanda, pchnięta przez dozorczynię, weszła do jasnego, obszernego pokoju. Za biurkiem siedzieli dwaj policjanci w mundurze. Opodal stał jakiś cywil o wypukłych oczach. Twarze mężczyzn były spokojne i jakby zniechęcone. Cywil odezwał się:

— Nazywasz się Wanda Sławińska, masz lat siedmnaście, jesteś uczennicą szkoły handlowej, mieszkasz przy Wehrmachtstrasse, liczba 28. Tak. Podobno nie rozumiesz po niemiecku. Na — mniejsza z tym. Gadaj, kto cię posyłał z gazetkami. Im prędzej powiesz, tym prędzej stąd wyj[illegible]

— Nikt mnie nie posyłał — wygłosiła Wanda, trochę za szybko, jak zadaną lekcję. — Znalazłam paczkę w sieni. Podniosłam.

— Znalazłaś. A my znajdziemy sposób, aby wydobyć z ciebie prawdę — cywil ziewnął, zasłaniając niedbale usta dłonią. — A więc?

— Nawet nie wiedziałam, co paczka zawiera...

Jeden z mundurowców zagadał coś do cywila. Wanda zrozumiała pojedyncze słowa: Dirne — Ohrfeige. — Zresztą cywil natychmiast uderzył ją w twarz. Wanda zatoczyła się. Dozorczyni wymierzyła jej drugi policzek.

— Gadaj — rozkazał cywil, nie podnosząc głosu.

— Jakim prawem... — rozpoczęła Wanda. Uderzona czymś kułakiem w piersi, nie mogła chwycić tchu. Wywleczono ją do następnego pokoju. — Po co ta drabina na samym środku... — przebiegło przez myśl Wandy. Po chwili leżała twarzą na podłodze, mając ręce wykręcone za plecy i spętane sznurem. Dozorczyni zdarła z nóg panny Sławińskiej drewniaki. — Po co — pomyślała struchlała Wanda. Niebawem miała bose stopy przytroczone powrozem do pierwszego szczebla drabiny. Dozorczyni przysunęła ku drabinie krzesełko, usiadła wygodnie. Naraz Wanda jęknęła. Targnął nią dotkliwy ból. Zacięła usta.

— Nie będę krzyczała... Nie będę... [illegible]

Dozorczyni, nie przerywając swej pracy, zaśmiała się krótko. Wanda umilkła, głęboko zawstydzona

— Dlaczego krzyczę? Nie obdzierają mnie ze skóry... A jeśli to uczynią?...

Ból wzmagał się. Przeszywał ciało leżącej tysiącem ostrzy. Skronie Wandy pękały. Przed oczyma wirowały natrętnie czarno-czerwone płaty. Żeby choć sekundę ulgi — słyszała czyjś coraz głośniejszy krzyk.

— To ja tak krzyczę? —

Uczuła szarpnięcie za włosy. Dźwignięta tym sposobem, znalazła się na kolanach. Pan o wypukłych oczach stał nad nią. Mruknął coś po niemiecku i dozorczyni wyszła z pokoju. Wiedy pokiwał współczująco głową.

— Potrzebne ci to było? Drzazgi za paznokciami, drzazgi między palcami? Marzyłaś kiedy o takim pedicure?

Rozglądnął się niespokojnie dokoła.

— Nie mogę cię odwiązać, bo zwróciłbym na siebie podejrzenie. Ale chcę ci przyjść z pomocą. Ze mnie dobry człowiek. Kazali mi być volksdeutschem. Trudno. Ale ja zawsze naszym pomagam.

— Niech mnie pan ocali — wyjąkała Wanda. Tłumione nadludzkim wysiłkiem łzy ściekały teraz po gorejących policzkach.

— No ja. Niema co płakać. Dopiero początek z tobą zrobiony. Niewytrzymała jesteś, moja panno.

— Tak — przyznała dziewczyna.

— Powiedz, kto ci doręczył te świstki, a natychmiast będziesz wolna.

Zwróciła szeroko rozwarte oczy na cywila.

— Nie rozumiem — Mam powie-[illegible]

— Oczywiście. I tak się dowiemy. Po co się masz męczyć niepotrzebnie...

— Ja... Nie powiem.

— Nie powiesz. Aha... — cywil zdawał się pogrążać w zamyśleniu... Nagle Wanda zaszamotała się w więzach. Uderzenia trzciny spadały na palce jej drżących stóp. Spadały właśnie na miejsca, w których tkwiły [illegible]

Cywil wymierzał razy bez pośpiechu, pogwizdując z cicha. Każdemu uderzeniu odpowiadał wrzask Wandy, miotającej się na podłodze.

Świst trzciny ustał. Cywil począł krążyć po pokoju, skrzypiąc swym wytwornym obuwiem. Podniósł z podłogi drewniaki Wandy i oglądał je uważnie.

— Trzydziesty piąty numer. A jesteś wysoka i smukła. Ładne masz stopy, drobne, kształtne, delikatne... Cała jesteś niebrzydka. Odzyskasz wolność, tylko powiedz, co trzeba.

— Nie powiem — wybełkotała Wanda.

— Taka jesteś uparta — westchnął wypukłooki pan.

Wyszedł, zatrzaskując drzwi za sobą.

— Zdjął go żal.. Pewnie wróci, uwolni mnie. W jaki sposób.. To już jego sprawa. Widzi, że jestem wytrzymała na cierpienia, więc mnie odwiąże i przeprowadzi jakim ukrytym korytarzem. Byle jaknajprędzej...

Skrzypnęły otwierane drzwi, zaskrzypiały wytworne trzewiki. Cywil podszedł ku leżącej. Miał na sobie długi popielaty hałat.

— Co słychać, zabawna bosonóżko...? Namyśliłaś się? Milczysz — Trzeba ci wiedzieć, że wypiłem cokolwiek dla wzmocnienia. Teraz pogadamy.

Zapowiedziana pogadanka polegała na uderzaniu grubą trzciną w pięty i podeszwy. Panna Sławińska jęczała głucho, tłukła głową o podłogę, skręcała się w potwornym bólu.

— Skaczesz, jak ryba na piasku — zauważył cywil, wymierzając coraz to silniejsze uderzenia. Pochłonięty był tą pracą do tego stopnia, że nie zapytywał nawet Wandy, kto jej dostarczył gazetek. Walił w uniesieniu, niemal w ekstazie. W pewnej chwili począł głośno liczyć: dwanaście, trzynaście, czternaście...

Doliczywszy do dwudziestu, cisnął trzcinę w kąt i opadł wyczerpany na krzesło. Sapał, dyszał, ocierał pot z czoła, wzdychał z pełnią uznania dla swego trudu.

— Długo jeszcze chcesz się tak wylegiwać?

Stopy Wandy, odwiązane od szczebla drabiny, opadły bezwładnie na podłogę.

— Zapaskudziłaś swoją juchą podłogę, ściany, mój hałat. Musisz to wszystko wymyć. Przedtym nauczymy pannę Sławińską, jak to się drepta na bosaka po dwudziestu plagach.

Nauka szła nieskładnie, ilekroć bowiem Wanda dotknęła podłogi ociekającymi krwią stopami, waliła się, jęcząc, na kolana. Wypukłooki pan kopał dziewczynę w podeszwy, powtarzając znudzonym głosem:

— Od kogo masz gazetki? Gadaj!

Po którymś kopnięciu spostrzegł ze złością, że trzewiki ma powalane krwią. Wytarł je starannie o włosy badanej. Nie doczekawszy się żądanej odpowiedzi, bąknął:

— Chyba ci życie nie zbrzydło... Nie wiesz, jaka wspaniała oczekuje cię kariera. Pójdziesz, niepełnoletnia, bosa bohaterko narodowa, do domu publicznego. Tam nasi dzielni SS-mani będą mieli z ciebie pociechę przez jakie dwa, trzy miesiące. No, kochanie. Kto doręczył ci te świstki?

Podeszwy Wandy zadrżały pod nowymi uderzeniami trzciny. Dziewczyna krzyczała dziko. W pewnej chwili zerwała się z podłogi, skoczyła przed siebie runęła na kolana, wiła się, jak robak, wbity na szpilkę. Prześladowca dopadł jej błyskawicznie. Teraz walił naoślep. Widocznie stracił cierpli-[illegible]

Nagle drzwi rozwarły się z trzaskiem. Wtargnął głuchy głos syreny, na którego tle ktoś krzyczał:

— Fliegeralarm! Fliegeralarm!

Cywil przerwał chłostę. Spojrzał na rozciągniętą bezsilnie Wandę, zawołał.

— Wrócę po alarmie! — i wybiegł z pokoju.

Panna Sławińska próbowała mozolnie zebrać myśli. Tępy, potworny, nieobjęty żadnym zmysłem ból zabijał jakiekolwiek próby w tym kierunku. Powoli z wiru i zamętu wylanzało się przekonanie:

— Jestem sama... nikogo przy mnie... sama... nikt mnie nie bije — Czy to sen czy jawa..?

Syrena zawyła ponownie, jakby w rytmie jakiegoś żywiołowego tańca. Teraz dźwięk ten rozjaśniał myśli, koił rany, krzepił, pocieszał.

Wanda zapragnęła nagle dźwignięcia się z podłogi. Szło to nader opornie. Skrępowane ręce drętwiały, nogi trwały w bezruchu.

Więc jakże — Leżeć dopóki nie wróci cywil... Zapowiedział, że wróci — Zwierzęcy strach przeszył ciało Wandy. Uciekać przed cywilem o wypukłych oczach. Lepsza śmierć niż jego powrót.

— Śmierć — może jeszcze życie jest przedemną. Może teraz, wskutek nalotu Niemcy uciekną z miasta. Przez chwilę, może przez godzinę miasto będzie opustoszałe.. Potym wkroczą lotnicy.. Gdyby tak miało być... Ileż razy bombowce przelatywały nad miastem. Czy tym razem będzie to jedynie przelot.. A jeśli nalot...

Nasłuchiwała. Żadnych detonacyj. Jeszcze nie rozpoczęli..?

— Nic z tego nie będzie. Odwołują alarm. Wróci cywil. Będzie znowu bił. A ja dalszego bicia nie zniosę. Powiem wszystko, co zechcą. Wydam wszystkich. Jak śmiałam przystąpić do konspiracji, nie mając do tego sił.. Wszystko na nic. Wszelkie zaklęcia, zobowiązania, przysięgi... Ból wszystko zmoże..

Przemienia człowieka w klepek dygocących nerwów, w zdarty łachman.. Wszystko powiem, tylko nie bicie — Zaraz... Jestem na szczęście sama. Czy mówiłam coś głośno?... Nie będzie długa moja samotność. Nadejdzie cywil. Nie może mnie tu zastać. Schronię się choćby na drugi świat. Drugi świat. Ależ tam musi być o wiele lepiej, niż tu. Tam na pewno nie biją. Po cóż mieliby bić...

A może niebawem wpadną tutaj wybawcy... Podniosą mnie, rozwiążą, skierują do szpitala. Tam zostanę wyleczona w ciągu kilku dni. Będę swobodna, wolna. Wolna. — Jak ptak w locie. — Ptak. Lata. I ja ulecę. Może na wolność, może na zagładę. Jeżeli wróci cywil... na jego widok odfrunę. Niech sobie nie wyobraża, że ze mną można tak postępować. Na mnie rodzice nigdy nie podnieśli ręki, a jakiś zdrajca śmiał mnie skatować... Cywil wróci, a ja rozwinę skrzydła i odlecę. Nie mam skrzydeł. Chyba mam gorączkę. Nie mam skrzydeł. Ale mam plan. Tutaj nie ma okien. Widocznie zamurowane. Żarówka u sufitu jaskrawo oświetla izbę badań. Ale tam, w pierwszym pokoju, jest okno. Drzwi uchylone.

Czołgała się z wysiłkiem po podłodze. Żeby choć uklęknąć. Utrzymać się na kolanach... Głupie marzenia. Nie miała sił, aby oderwać głowę od podłogi.

Przesuwając się to na prawym to na lewym boku, napotkała parę swych drewniaków. Leżały w kącie niepotrzebne.

— Cóż by mi z nich teraz przyszło... Nie wciągnę nic na nogi. Nawet boso nie ujdę kroku. Przeklęte sznury. Wrzynają się w ciało jak noże. To nic. Fruwać można, będąc związana i bosa...

Pełzając, dotarła do pierwszego pokoju. Przez duże, otwarte okno wdzierał się blask lipcowego południowego [illegible]

— Za tym oknem jest otchłań słoneczna. Pofrunę, skoczę w nią, zatracę się... Okno jest wejściem do lepszego kraju. Ucieczką przed biciem. Okno na trzecim piętrze, okno, wychodzące na kamienne podwórze. Pamiętam, że na tym podwórzu jest kamienna posadzka. Prowadzono mnie tamtędy przed godziną. Może to było dawno. Może przed rokiem. Nic już nie wiem. Przeciwnie. Wiem. Dzisiaj jest czwartek, dwudziesty dzień lipca, tysiącznego dziewięćsetnego czterdziestego trzeciego roku. Aresztowano mnie o dwunastej. Tutaj przyprowadzono po drugiej. Teraz jest...

Spojrzała na ścienny zegar. Za cztery minuty pół do trzeciej.

— W ciągu tych dwudziestu kilku minut stałam się zaszczutym, prześladowanym zwierzęciem. Przecie na samą myśl, że ktoś może uderzyć mnie lub kopnąć w pięty, tracę przytomność z przerażenia...

Szalonym, niezrozumiałym wysił-

kiem Wanda zerwała się z podłogi. Zdołała utrzymać się na kolanach. Przytuliła się do ściany. Wykręciła wę. Ujrzała to, co przed chwilą było jej podeszwami i piętami, a obecnie stanowiło krwawą, bezkształtną masę. Przymknęła oczy ze wstrętem. Słyszała jednostajny tykot zegara. Czas mija. Cywil wróci lada chwila.

Otwarła oczy i wytrwale posuwała się wzdłuż ściany ku oknu. Ból powstrzymywał, przestrach poganiał. Kiedy klęczała już pod oknem, próbowała rozluźnić przynajmniej powrozy, ściskające jej nogi w kostkach. Po nieudałych staraniach wyprężyła się i powstała. Spętane ręce oparła o framugę okna. Usiadła na framudze. Odetchnęła. Spojrzała w dół Podwórze było puste. Kamienne płyty czekały. Czekały na bezpośrednie zetknięcie się z ciałem Wandy. Nie było w nich nic groźnego. Może były zanadto rozpalone w słońcu.

Panna Sławińska odwróciła głowę. Spoglądała bezmyślnie na pokój, na ciągnące się wzdłuż ściany dwa krwawe pasma. Docierały one do jej stóp, tak wycofanych z obiegu i niepotrzebnych, jak leżące w drugim pokoju drewniaki.

Ponownie spojrzała na podwórze. Było bardzo rozległe, dalekie, a równocześnie dziwnie bliskie Drgnęła. Sygnał odwoławczy. Więc to tylko przelot. Za chwilę przyjdzie cywil. Już słychać jego kroki

Zerwał się wiatr. Lekki jego szum chłodził rozpalone czoło Wandy.

— Ulecę z wiatrem. Spłonę w słońcu. Rozbiję się o kamienne płyty podwórza. Byle nie dostać się w ręce cywila.

Kroki. — Naprawdę — kroki — ktoś zdąża bez pośpiechu po schodach.

— To on. Moja zagłada. A może to idzie ktoś, który ułatwi mi ucieczkę.

Zaskrzypiały drzwi. Do pokoju wszedł wypukłooki cywil. Ujrzawszy Wandę, cofnął się osłupiały.

— Ty skąd tutaj?

Kiedy cywili przybliżył się do Wandy, przechyliła się w oknie. Naraz jak pocisk przebiła przestrzeń i opadła [illegible]

Do kamiennych płyt podwórza przylgnęło pogruchotane ciało.

Wiesław Gołecki

CO CZYTAĆ?

Leopold Staff: „Martwa pogoda" — poezje. Kraków 1946 — Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Hanna Mortkowicz-Olczakowa: „Jak się wszystko zmieniło" — powieść wierszem dla starszych dzieci. Ilustracje Antoniego Uniechowskiego. Kraków 1946—Wydawnictwo „Przełom" i Wydawnictwo J. Mortkowi[illegible]

Witold Zechenter: „Wilk z partyzantki" — opowiadanie. Ilustracje: Z. Czaczko i A. Święty. Kraków 1946— Biblioteka Opowieści Przyrodniczych — Księgarnia Wydawnicza L. J. Jaroszewski.

Józef Prutkowski: „Cicha lipa" — satyry i fraszki. Katowice 1946 — Wydawnictwo AWiR.

*

Spośród świeżo nadesłanych wydawnictw. na pierwszy plan wysuwa się nowy zbiór najwybitniejszego spośród żyjących poetów polskich — **Leopolda Staffa**. „Martwa pogoda", to dalszy etap rozwoju tego poety, który wystartowawszy w r. 1901 zbiorkiem pt. „Sny o potędze", poprzez dwadzieścia kilka publikacyj poetyckich i dramatycznych, poprzez dziesiątki tłumaczeń arcydzieł literatów obcych — doszedł do bezwzględnej doskonałości artystycznej. Twórczość Staffa charakteryzuje przede wszystkim żywioł wiecznej młodości. Pod tym względem jest poeta niemal że fenomenem, przynajmniej w literaturze polskiej. Wyrósłszy z nurtu **„Młodej Polski"**, której był u nas na przełomie w. XIX-go i XX-go współtwórcą — towarzyszy następnym pokoleniom poetów, w niczym im świeżością wypowiedzi artystycznej nie ustępując. I chociaż poeci okresu międzywojennego, a szczególnie grupa warszawskiego **„Skamandra"**, uważali Staffa za swego duchowego ojca — on jednak czuł się i czuje nadal jedynie starszym kolegą poetów. Sztukę swoją wzbogaca o coraz nowocześniejsze elementy, nie pozwalając sobie na najdrobniejsze choćby objawy skostnienia. **Zdobywaniem siebie codzień na nowo** nazwał kiedyś swą poezję i słowa tego do dziś w pełni dotrzymuje. Ogłaszane na łamach czasopism, już po wydaniu „Martwej pogody" nowe wiersze Staffa są nawet dowodem, że artysta ten „nie darował" nawet najnowszemu nurtowi artystycznemu, tzw. **awangardzie**. Przejmując od niej dużo środków wypowiedzi, odwracając niejako kolejność normalnego biegu rzeczy, uwypukla tylko w ten sposób jednolitość i ponadczasowość pewnych zasadniczych elementów artystycznych. Bo przecież o uleganie „wpływom" w potocznym tego słowa znaczeniu, posądzić Staffa nie możemy.

„Martwa pogoda", jeśli idzie o ogólny charakter, oznacza się ściszeniem i jeszcze większym wyklarowaniem postawy duchowej autora. I tylko niezmiennie, poprzez najciemniejsze okresy okupacyjnych lat przebija się ciągle ten sam optymizm i ta sama [illegible]

Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.
Nikt o tym jeszcze nie mówi nikomu,
Lecz wiatr już o tym szepce po ogrodach.

Każdy, komu bliska jest prawdziwie piękna literatura polska, poznać musi najnowszy zbiór wierszy Leopolda Staffa. Do szczegółowego, szerszego omówienia całokształtu jego twórczości — powrócimy niebawem.

*

Znane od kilkudziesięciu lat zasłużone dla kultury polskiej wydawnictwo **J. Mortkowicza**, nie tylko wydawaniem książek poetyckich przyczynia się do wzrostu ilości i jakości pozycyj księgarskich. Pod jego firmą ukazało się przed wojną wiele dzieł z zakresu prozy artystycznej (choćby tylko wymienić „Pisma Zebrane" Stefana Żeromskiego), ukazało się też wiele publikacyj z innych dziedzin. Ze szczególną uwagą i troską odnosiło się zawsze to wydawnictwo do książek dla dzieci i młodzieży.

Po ostatniej wojnie wznowiono szereg pozycyj z tego zakresu — czy to **Marii Dąbrowskiej**, czy **Janusza Korczaka**. Nową zaś książką dla starszych dzieci jest powieść wierszem **Hanny Mortkowicz-Olczakowej** pt. **„Jak się wszystko zmieniło"**. W potoczystym, o dużej kulturze wierszu opowiada autorka dzieje rodziny, której wojna zabrała ojca, uwięzionego przez Niemców w jenieckim obozie. Anta, Terenia i Janek, młodziutcy bohaterowie książeczki — to dzieci, wychowane przed wojną w dobrych warunkach materialnych, pod czułą i kulturalną opieką rodziców. Wrzesień 1939 zabiera im ojca, lata okupacji uczą tych troje rodzeństwa samodzielności i szacunku dla pracy i wyników tej pracy. Rozgrymaszone i nieposłuszne, pod wpływem twardego okupacyjnego życia robią się dzieci zrównoważone i grzeczne, a będąc przed wojną przyczyną wielu trosk rodziców, stają się teraz pomocą dla borykającej się samotnie z życiem matki.

Opowieść kończy się momentem wyczekiwania na powrót ojca z niewoli, w momencie, gdy armie sprzymierzonych przełamują ostatni opór niemiecki. I to jest może jedynym zastrzeżeniem, które przy następnych wydaniach można by uwzględnić: książeczka winna kończyć się radosnym wydźwiękiem, powrót ojca winien być potwierdzeniem tej wiary w lepszą, wolną przyszłość, jaka ożywiała bohaterów opowieści przez okres wojny i okupacji.

Wydana starannie, z dobrymi rysunkami A. Uniechowskiego, książeczka Hanny Mortkowicz-Olczakowej winna znaleźć się w rękach każdego dorastającego dziecka.

*

Prozę dla młodzieży, która może być również lekturą dla czytelników starszych, reprezentuje bardzo ciekawe i żywe opowiadanie znanego poety, satyryka, krytyka i dziennikarza **Witolda Zechentera** pt. **„Wilk z partyzantki"**. W przekonywujący i w wielu miejscach wzruszający sposób roztacza przed nami autor historię psa Wilka, który po aresztowaniu przez Niemców swego pana, wiejskiego nauczyciela, ucieka do lasu i tam, wiedziony nieomylnym instynktem, napada na poszczególnych żołnierzy hitlerowskich, którzy się w tamtych stronach pojawiają. Nie mogąc zapomnieć swego pana, któremu zawdzięcza wyleczenie z ran i uratowanie od śmierci głodowej — samotny, nieznoszący innych ludzi Wilk, decyduje się jednak na służbę u partyzantów, którzy walczą w lesie ze znienawidzonym przezeń instynktownie wrogiem. Z biegiem czasu powstają legendy na temat tajemniczego psa-upiora. Opowiadają o nim ze zgrozą i przerażeniem Niemcy, znajdujący straszliwie pokaleczone trupy swych kolegów. Tylko

na Polaków nie rzuca się legendarny Wilk, unikając — z wyjątkiem partyzantów — obecności ludzi.

Szczerze wzruszający jest moment pożegnania psa z najbliższym jego przyjacielem w oddziele, partyzantem Antonim, gdy po zakończeniu wojny wracają żołnierze do wolnego życia. Pies bowiem, gdy przedmiot jego zemsty Niemcy, został zlikwidowany — wraca znów do zagrody, opuszczonej kiedyś po aresztowaniu nauczyciela Jana. I wróciwszy, zastaje swego pana, który po przybyciu z obozu zamieszkał znów samotny w ustronnym domku.

Żywa i sugestywna książeczka Witolda Zechentera zainteresuje z pewnością każdego czytelnika.

*

Na zakończenie przejdźmy do zbiorku satyr i fraszek popularnego poety **Józefa Prutkowskiego.** Uczestnik bitwy pod Lenino, żołnierz całej kampanii roku 1944/45 — próbuje również celnie, chociaż piórem, walczyć o porządek i ład w dźwigającym się po wojnie kraju. A że czyni to w formie dowcipnej — tym chętniej te jego walki pod „Cichą lipą" poznamy.

Omawiany tomik, stanowiący szczupły wybór z olbrzymiej (!) i nieraz niecelnej twórczości satyrycznej Prutkowskiego, jest dobrym i interesującym przeglądem tego, co dostrzec można w „krzywym zwierciadle" rzeczywistości. I dobrze, że takie utwory powstają, gdyż walcząc najskuteczniej może, bo przez ośmieszanie, z różnymi plagami życia powojennego— przyczyniamy się do oczyszczenia codziennych spraw tego życia. Tak więc paskarstwo, szaber, łapownictwo, karierowiczostwo, zacofanie i głupota— wszystko to jest przedmiotem celnych zazwyczaj satyr i fraszek „Cichej lipy". I tu, trzeba powiedzieć, spotkamy pewne dłużyzny i przeciągnięcia satyrycznej struny. Lecz znajdujemy szereg dobrych, a nieraz lirycznie ujmujących utworów. I tak na przykład — wyśmianie karierowiczów, zamaskowane udawaną zazdrością poety.

Co dzień sobie myślę: do jasnej
(cholery!
Każdy dziś ma możność zrobienia
[kariery.
Każdy może wybić się,
A ja nie. Ja już nie.

I opisując łamańce i tarapaty tzw. „wazeliniarzy", stwierdzą autor, przemycając w dowcipnej formie poważną i trafną myśl:

A ja aż w męce się kręcę,
Bo wciąż denerwuje mnie to,
Że niczym na świecie nie można
[być więcej,
Niż zwykłym, polskim poetą.

I tak dalej. Dowcipne i słuszne. Przeczytajcie.

A. Włodek

INSCENIZACJE, TANCE i PIOSENKI

BOGDAN BRZEZIŃSKI

RYWALKA KASI

Wesoły obrazek w 1 odsłonie

Osoby: *Kasia, młoda przystojna dziewczyna. Jej matka, starsza gospodyni. Zosia, przyjaciółka Kasi. Franek, inteligentny chłopak wiejski. (Rzecz dzieje się w przyzwoicie urządzonej izbie chłopskiej.)*

KASIA (*wzdycha*).

MATKA: — Co?

KASIA: — E, nic, matulu...

MATKA (*ze współczuciem*): — Smutno ci, Kasiu?

KASIA: — A tak mi jakoś smut- [illegible]

MATKA (*zajęła składaniem bielizny*): — Oj, wiem ja, wiem, dlaczego ci tak smutno, dziewczyno!

KASIA (*wstydliwie*): — Ee, myli się matula!...

MATKA: — A skąd wiesz, że się mylę, skoro ci nawet nie powiedzia- [illegible]

KASIA (*zmieszana*): — Bo matula [illegible]

MATKA (*uśmiecha się*): — To ja teraz już wiem na pewno! (*przysuwa się bliżej*) — Franek, prawda?...

KASIA (*kiwa głową*).

MATKA (*w zadumie*): — Zmienił [illegible]

KASIA (*płaczliwie*): — A zmienił!

MATKA: — I to od niedawna! A przecież dawniej, to codziennie zaglądał! Sama myślałam, że na Boże Narodzenie będzie ślub!

KASIA (*opuszcza głowę*).

MATKA (*do siebie*): — Muszę ja spenetrować dokumentnie, co jest na [illegible]

KASIA (*spogląda w zadumie przez okno; po chwili*): — O, Zośka idzie!

MATKA (*niechętnie*): — Pewnikiem idzie, żeby wyciągnąć to i owo i potem ploty robić po wsi!

(*wchodzi Zosia*)

ZOSIA: — Dzień dobry, dzień dobry! (*wita się z matką Kasi i przyjaciółką*) Ja tylko na chwileczkę! Nawet nie będę siadać!... (*siada*).

MATKA (*na stronie*): — A jednak usiadła...

ZOSIA: — Co ty tak w domu siedzisz, Kasiu? Nosa nie wyściubisz za drzwi!

KASIA: — Robotę mam... Widzisz, że ceruję.

ZOSIA: — E tam! Taka ładna pogoda, lepiej pospacerować!

KASIA: — Nie mam ochoty na spacery...

ZOSIA: — A może ja wiem, dlaczego w domu siedzisz, Kasiu?...

MATKA (*na stronie*): — Już się zaczęło! Ta musi zawsze wszystko wiedzieć!...

KASIA (*zmieszana*): — Mówię ci, że ja tak, sama z siebie, nie mam ochoty . Kto mi zabroni?

ZOSIA (*śmieje się*): — Pewnie, że nikt ci nie zabroni! Ale dawniej, to spacerowałaś i śmiałaś się ciągle... Nawet cię „śmieszką" przezywali!

KASIA (*opryskliwie*): — Przywidziało ci się! Wcale się nie zmieniłam! Zresztą — z czego się mam śmiać?

ZOSIA (*podchwytuje*): — O, o, o właśnie! Pewnie, że ci nie do śmiechu! Ten Franek — —

KASIA (*gotowa do sprzeczki*): — Co Franek? —

ZOSIA: — E, nic. Jak masz się zaraz obrażać, to nic nie powiem. Ani słówka!

KASIA: — Pewnie tak będzie lepiej. .

MATKA (*zaciekawiona*): — A co Zosia niby... o tym Franku?

ZOSIA: — Ja? Nic... Kasia kazała mi milczeć, to milczę. Zresztą — plotek nie lubię! (*po chwili*): — To już chyba sobie pójdę... (*udaje, że chce wstać*).

KASIA: — Zostań, Zośka! Nie bądź taka obraźliwa

MATKA: — Nie ma się o co zaraz obrażać.

ZOSIA: — Jak chcecie, to zostanę, ale nic nie powiem... (*rozsiada się*).

KASIA (*przysuwa się do niej, przymilnie*): — Zośka, moja złota! A co ty chciałaś powiedzieć o tym... o tym Franku?

ZOSIA (*uśmiecha się z triumfem*) — Widzę, że ciekawa jesteś?

KASIA: — Eee... ja tak sobie tylko...

ZOSIA (*skwapliwie*): — To już ci po[illegible]em!

MATKA (*z zaciekawieniem*): — No, no, niech Zosia powie!

ZOSIA (*z przejęciem, jakby ogłaszała bardzo sensacyjną wiadomość*): — Ja wiem, dlaczego Franek teraz do ciebie rzadziej zaglądał

KASIA: — Wiesz? —

ZOSIA: — Wiem! On teraz chodzi do jednej...

KASIA: — Tak?? Kto to jest?

ZOSIA: — Rywalka...

KASIA (*naiwnie*): — Jak się nazywa?

ZOSIA (*śmieje się*): — Nie nazywa się, tylko, że jest twoją rywalką! Nie rozumiesz? No, niby, że twoja konkurentka... Tamta mu się, uważasz, lepiej podoba.

MATKA (*oburzona*): — Niż Kasia?! Świat się kończy, moi dobrzy lu-[illegible]

KASIA: — A kto jest ta... ta rywalka?

ZOSIA: — Nauczycielka.

MATKA: — Nauczycielka??

ZOSIA: — Nauczycielka.

KASIA: — Ta gruba?

ZOSIA: — Tak.

KASIA (*pogardliwie*): — Przecież ona ma tyle piegów na twarzy, jakby się specjalnie opalała przez sitko!

ZOSIA (*wzrusza ramionami*): — Nie to ładne, co ładne, tylko to, co się komu podoba!

KASIA (*walczy ze łzami, pochyla głowę*).

MATKA: — Nie płacz, głupia!

KASIA: — Ja wcale... nie... płaczę... (*nagle wybucha płaczem*) Buuuu!...

ZOSIA: — No, nie płacz, daj spokój, Kasiu! Ej, po co ja ci o tym powiedziałam!...

MATKA: — A skąd Zosia wie, że Franek do nauczycielki...?

ZOSIA: — Bo mam oczy! Przecież codziennie po południu chodzi do szkoły!

MATKA: — Po południu? Po południu dzieciaki się nie uczą, to i nauczycielki pewnikiem nie ma w szkole?

ZOSIA: — Od paru tygodni jest stale po południu, odkąd czytelnię urządzili. Książki wydaje.

MATKA: — Aha. No, ładna historia! A mówiłam ci, Kaśka, że Franek — [illegible]

KASIA: — A nieprawda! Mówiła matula, że porządny i aż za powa-[illegible]

MATKA: — Mówiłam?... Et, chyba się przesłyszałaś... Wiatr, powiadam ci dziewczyno! Wiatr, albo całkiem głupi! Żeby taką dziewczynę porzucać dla takiej grubej armaty!...

ZOSIA (*chytrze*): — No, nauczycielka nie jest brzydka... A że gruba — to rzecz gustu...

KASIA (*płacze*): — Buuuu!...

Franek (*wchodzi*): — Niech będzie pochwalony! (*spostrzega, że Kasia płacze*). Co się stało?... (*zauważa, że matka ma ponurą minę*): — No, tu się chyba rzeczywiście stało coś niedobrego!

MATKA (*znacząco*): — A stało się coś niedobrego!...

ZOSIA (*słodko*): — Dzień dobry, Franusiu? Co słychać?

FRANEK (*roztargniony*): — Co słychać?... E, nic. Ale co tu się stało, czy mogę się dowiedzieć?

MATKA: — Dziwne, że Franka tak nagle łzy Kasine obchodzą... Nic się nie stało, co się miało stać? Lepiej by Franek poleciał do tej swojej, zamiast tu gadać po próżnicy!...

FRANEK (*zdziwiony*): — Do jakiej swojej?

MATKA: — Do tej, dla której Franek zaniedbuje Kasię!

FRANEK: — Nic nie rozumiem...

KASIA (*łkając*): — Dawniej, to ja ci byłam miła! Tylko ja! A teraz to ty ciągle tylko do szkoły latasz... Tamta ci milsza!

FRANEK (*uderzając się dłonią w czoło*): — Ach, tak! Teraz rozumiem!...

ZOSIA (*złośliwie, z satysfakcją — do siebie*): — Wysypało się!...

KASIA: — Ja rozumiem — ona inteligentniejsza ode mnie.

FRANEK (*z uśmiechem*): — Pewnie, że inteligentna.

KASIA: — Wolisz z nią przebywać...

FRANEK (*wciąż się uśmiechając pobłażliwie*): — Czasem, to nawet bardzo lubię.

MATKA (*na stronie*): — Bezwstydne chłopisko!

KASIA: — Ale przecież ona ma piegi!...

FRANEK (*zdumiony*): — Co?

KASIA: — No... piegi.

FRANEK: — Jakto?

KASIA: — Nie wiesz, co to są piegi? Takie kropki.

FRANEK (*uspokojony*): — Aa, kropki są. Muszą być.

ZOSIA (*ze zdziwieniem*): — Dziwny gust! Kropki muszą być?...

FRANEK: — No pewnie! Jakże tak, bez kropek... Nikt by nie zrozumiał, gdyby nie było kropek...

MATKA (*wzruszając ramionami, ze złością*): — Albo zwariował, albo był w karczmie!... Całkiem od rzeczy gada!

KASIA: — Ale czy cię to nie razi, że...

FRANEK: — Że co?

KASIA: Że ona jest gruba?

FRANEK: — Ja lubię, kiedy jest gruba! Na dłużej starczy.

MATKA (*zdumiona i zgorszona*): — Co?!

ZOSIA: — Jakto na dłużej starczy?...

FRANEK: — No, dłużej się ją czy-[illegible]

ZOSIA: — Kogo się czyta? Kobietę?!

MATKA: — Nieee, on naprawdę był w karczmie!...

FRANEK (*śmieje się do rozpuku*): Jaką kobietę?... Książkę się czyta dłużej, kiedy gruba! Ha, ha, ha!

ZOSIA: — Książkę?...

KASIA (*ocierając szybko łzy z oczu*): — Książkę?

MATKA (*na stronie*): — Zabijcie mnie, ale teraz nie wiem — czy on się opił, czy ja pijana?...

FRANEK: — No tak, książkę. Przecież o książce ciągle mówimy.

ZOSIA: — O książce?...

FRANEK: — Dobre sobie! A po co ja bym chodził do tej szkoły? Dlatego chodzę, bo tam jest czytelnia. Książki biorę i czytam. Przez to mam mniej czasu dla mojej Kasi... Mojej jedynej, najmilszej dziewczyny! (*patrzy z zachwytem na Kasię. Kasia trochę osłupiała, też się uśmiecha*). A jak książka ciekawa, a do tego gruba, to wiadomo, że lepsza, niż cienka! Chyba jasne!

ZOSIA (*zawiedziona*): — To taka historia! Książka...

FRANEK (*z ożywieniem*): — Mówię wam, jak byście zaczęły czytać dobre książki, to też byście nie raz zapomniały o świecie Bożym! Ilu ciekawych rzeczy można dowiedzieć się z książek!

KASIA (*nieśmiało*): — Franuś, a czy ja też mogła bym brać kiązki z tej czytelni?

FRANEK: — Ależ oczywiście! Po to tę czytelnię urządzili, żeby wszyscy mieszkańcy wsi czytali i kształcili umysł!

MATKA: — Mościewy! Kto by to powiedział!... Więc ty Franuś tylko tak, względem czytania, do tej szkoły chodzisz?

FRANEK: — Naturalnie!

MATKA: — No, no, no! A widzi Zosia? Nie trzeba nigdy plotków robić!

ZOSIA (*zmieszana*): — Ee, ja tylko tak, przez życzliwość dla Kasi...

FRANEK: — Chodź, Kasiu, pójdziemy dzisiaj razem do czytelni! Wybiorę ci ładną książkę!

KASIA: — Idziemy, Franuś! Tylko pamiętaj, żeby była gruba — konieczn-[illegible]

[illegible]

ADAM WIERUSZ

NA PRZEDMIEŚCIU

Obrazek sceniczny w 1-nej odsłonie

OSOBY:

ANTEK

STASZEK

BRONKA

Rzecz dzieje się współcześnie

(*Ulica zawalona cegłami, pakami z piaskiem, drągami itp. Z głębi nadchodzi Staszek. Dwudziestokilkuletni, rosły teraz bardzo zmęczony. Ma na sobie nader skromną murarską przyodziewę, wykoszlawione trzewiki. Przygrywa na harmonii i podśpiewuje z fantazją*)

STASZEK:

Grzegórzeckie chłopcy
Mają raźną fizys,
Choć im wszystko zabrał
Powojenny kryzys.

ANTEK: (*rówieśnik Staszka, odziany z przerażającą elegancją, powiedzmy marynarka fioletowa, spodnie zielone, czerwony krawat, żółte obuwie, na palcu grubaśny pierścień albo i kilka pierścieni, włosy gładko zaczesane, słowem uwodziciel i piękniś we własnym mniemaniu, nadchodzi z prawej. Słucha podśpiewującego Staszka, potem woła*) Staszek!..

STASZEK: (*przestał grać, gapi się na Antka*) Antek... Jak Ierbla kocham... To ty?

ANTEK: Ano — po namyśle — można rzec, że ja. Serwus bracie. (*ściska mu rękę*).

STASZEK: Siadajże. (*Siadają na takiejś pace*). Czego to mówisz: po namyśle?

ANTEK: Widzisz — ja...

STASZEK: Wiem. Dość spojrzeć na

ciebie. Niby to ty jesteś a równocześnie nie ty. Zmieniłeś się.

ANTEK: Ba... I jak jeszcze...

STASZEK: No — zmieniłeś się tak od zewnątrz. Bo chyba taki jesteś jak dawniej.

ANTEK: Jasne. Przecież witam się z tobą, jak równy z równym...

STASZEK: Bośmy wszyscy sobie równi.

ANTEK: W pewnych rzeczach... tak. Powiedzmy: równość jest w umieraniu, chorowaniu i w czym tam jeszcze. Ale nie we wszystkim. O nie, bracie. Widzisz, to co się da z życia wyciągnąć: żarcie, picie, odzienie... Popatrzże na siebie i na mnie... Jak ty wyglądasz a jak ja...

STASZEK: Wyglądasz jak hrabia za barona przebrany. To i co z tego. Nie zależy mi na łachach. Że lepiej odemnie jesz i pijesz... Niech ci to wyjdzie na zdrowie.

ANTEK: *(zdumiony)*. Nie zazdrościsz mi?

STASZEK: Nie.

ANTEK: A mógłbyś mieć to samo, co ja. The... sprytu to trzeba mieć.. Ale ja miałbym i za ciebie i za mnie... Powiadam ci: rzuć te durne cegły... Zostań moim pomocnikiem a ho... ho... Wyjdziesz na ludzi...

STASZEK: A czemże ty jesteś? Bo to przeszło rok jak cię nie widziałem.

ANTEK: Ludzie, oczywiście nieoświeceni, ciemna uważasz masa, nazywają to różnie. Jeden powie: kanciarz. Drugi: szabrownik. Trzeci: waluciarz... A ja proszę cię gromadzę kapitały, umiejętnie nimi się posługuję, robię innym dobrze, a sobie także niezgo- [illegible]

STASZEK: *(gwizdnął)* Toś ty taki...

ANTEK: Nie podobam ci się..

STASZEK: Iii... nie to. Każdy postępuje, jak uważa. Każdy za to odpowiada. Tyle, że jakże to... Do porządnego wyglądu i szerokiego życia dochodzi się tylko takimi machlojkami czy jak tam?

ANTEK: Bracie. Jedyne co w życiu warte, to pieniądz. Wiesz. To potęga, że niech się świat przed nią schowa. Wszystko masz za forsę. Rozumiesz?

STASZEK: A nie wszystko.

ANTEK: Ciekawym, czego to za pieniądze nie dostaniesz?

STASZEK: *(uśmiecha się do siebie)* Już tam są takie rzeczy...

ANTEK: Mówże po ludzku. O czym myślisz?

STASZEK: Ha no, myślę o takim jednym skarbie, któregobyś nie dostał za żaden pieniądz.

ANTEK: A gdzież ten skarb? Na księżycu?

STASZEK: Tu, na ziemi. Wygląda po prawdzie, jakby z nieba przyszedł.

ANTEK: A cóż to takiego? Właściwie, któż to taki?

STASZEK: *(uśmiecha się ponownie)*

ANTEK: Wyszczerzasz zęby... Ani chybi, jakaś kiecka.

STASZEK: *(rozmarzony)* Ale jaka...

ANTEK: *(klepie go pobłażliwie po ramieniu)*. Jak tysiące innych. Anioł na ziemię zstąpił i w dziewczynę się przemienił. Myślałem, żeś za ten rok [illegible]

STASZEK: Zobaczysz ten mój skarb, to nie będziesz się ciskał.

ANTEK: Zobaczę? A kiedyż to?

STASZEK: Niedługo.

ANTEK: Taka ładna?

STASZEK: Mówią, że nie brzydka i ze zgrabna. Ale to przede wszystkim człowiek. Rozumiesz? Porządny, rzetelny człowiek.

ANTEK: Masz dowody?

STASZEK: Nie jeden. A chcesz, to powiem ci, w jaki sposób ją poznałem.

ANTEK: Możesz mówić. Mnie i tak w butelkę nie nabijesz.

STASZEK: Tamtego roku, był już październik, ziąb. Idę przez most... Patrzę... Dziewczę jakieś pcha ręczny wózek, a na nim kosz z bielizną.

ANTEK: To i co z tego?

STASZEK: Na bosaka po bicie dreptała. A tu przejeżdża koło niej wóz z węglem. Jedna bryła węgla spadła tuż pod jej nogi. A ona...

ANTEK: Podniosła bryłę i cisnęła na swój wózek.

STASZEK: Podniosła — owszem. Ale rzuciła na wóz z węglem.

ANTEK: Nie gadaj.

STASZEK: Żebym tak z trzeciego piętra rymnął, jeśli łżę.

ANTEK: *(kręcąc głową)*. No no...

STASZEK: Pomyślałem: biedne to, bose: a swój ambit ma. Przywaliłem się do niej. Odprowadziłem pod dom. No... właściwie to ona swego domu nie ma. Rodzice odumarli. Mieszka kątem u ciotki. Pracuje ciężko. Ale przez ten kawał węgla to mnie urzekła. Jeszcze jej tłómaczyłem jak co spadnie z wozu, to już niczyje. A jak niczyje, można zabrać. A ona: nie i nie. Że to kradzież. Przez zimę dobrze wymarzła. Mnie samemu dość ciężko, to się nad byle czym nie rozpadam. Ale ona w życiu dość zaznała biedy.

ANTEK: Jeżeli zasługuje na lepszy los, to musisz zbić pieniądze i zapewnić go jej.

STASZEK: *(przerywa)*. Pieniędzy nie zbiorę, a ją i tak będę miał.

ANTEK: *(wyrozumiale)* Wiesz bracie. Nie przypuszczałem, że jesteś tak nieskończenie głupi. Jak sobie wyobrażasz... Gdyby tak mnie napotkała w życiu... Spojrzałaby na ciebie? No, nie masz się o co pieklić. Mówię po przyjaźni.

STASZEK: Wcale się nie pieklę. Jestem o nią spokojny. Nic więcej.

ANTEK: A ja ci jeszcze raz, po przyjaźni wygarnę. Strzeż ją od takich ludzi jak ja. Tacy ją z drogi cnoty szybko ściągną.

STASZEK: Szkoda gadania.

ANTEK: *(zaperzony)*. Szkoda? A może i nie szkoda. Założmy się.

STASZEK: Co mi tam po zakładach. Zresztą o co się założyć... Ty masz forsę, ja nie.

ANTEK: Nie chcesz się założyć, bo cię strach obleciał.

STASZEK: Zdaje ci się.

ANTEK: *(wściekły)*. Nic mi się nie zdaje. Niech tylko spojrzę na twego anioła a zobaczysz, jak przyfrunie do [illegible]

STASZEK: Jakbyś się jej spodobał, powiedziałaby mi to zaraz. Ale... *(przygląda się Antkowi)* ty się jej nie spodobasz.

ANTEK: Najwidoczniej ma zły gust.

STASZEK: Może. Nie żebyś był brzydszy albo starszy odemnie. Ale się szarpiesz. A ona, widzisz braciszku, hojraków i robiących się ważnymi, nie uznaje.

ANTEK: No to... no to ciesz się, że nie poznałem twej ukochanej. Inaczej byś wtedy wyglądał... Gadasz, że ja się szarpię..? To ty drzesz nosa, ciskasz się...

STASZEK: Chcesz — poczekaj chwilę. Bronka tu przyjdzie. Będziesz mógł z nią pogadać. Jak chcesz, to ci się usunę z oczu na jakiś czas, żebyś miał swobodę. Potem dowiem się, czyś zrobił na niej takie wrażenie, jakie sobie obiecujesz.

ANTEK: *(wyciąga z kieszeni pękaty portfel, uderza o niego ręką)*. To jest wrażenie, ty chłystku przedmieścia!

STASZEK: Ho ho a ty nie z przedmieścia?

ANTEK: Alem światowy. Jeżdżę na wszystkie strony. Nie kisnę na jednym miejscu. No... gdzież ten twój anioł. Już ja mu przytnę skrzydełek...

STASZEK: Żeby ci tylko ośle uszy [illegible]

ANTEK: Powiedział, co wiedział...

STASZEK: *(nagle)* Jest... *(wypada w prawo)*.

ANTEK: *(patrząc za wybiegającym Staszkiem)*. Kto jest? Dokąd leciasz? Wariat. *(Staszek ukazuje się z Bronką)*

BRONKA *(około dwudziestki, istotnie niebrzydka i zgrabna, w perkalikowej sukienczynie, bosa, pcha ręczny wózek, na którym widnieje kosz z bielizną)*.

STASZEK: *(Pomagając jej)* Ale zaraz panna Bronka wróci...

BRONKA: Tylko bieliznę zostawię. Mam trochę czasu, panie Staszku.. Proszę tu zaczekać. Dobrze?

STASZEK: Czy dobrze? Ależ lepiej być nie może...

BRONKA *(przechodzi na lewo)*

STASZEK: *(po jej odejściu)*. Niebrzydka, co?

ANTEK: Wcale... wcale...

STASZEK: Kiedym ją poznał w październiku, tak samo z wózkiem na ulicy... No... teraz jest maj. Co innego.

ANTEK: Ona tu przyjdzie?

STASZEK: Nie słyszałeś? Za chwilę. Poznam cię z nią. Ale wierzaj mi: z twoim usposobieniem, z twymi poglądami, żebyś i miesiąc koło niej się zwijał..

ANTEK: Miesiąc? Za trzy, cztery minuty owinę ją sobie dokoła palca.

STASZEK: Powinieneś za to wyłasować po mordzie...

ANTEK: Dlaczego?

STASZEK: Ale to by cię nie przekonało. Dobra. Bronka przyjdzie, zostawię was samych a potem przyjdę i będę pękał ze śmiechu... Chyba... gdybyś się zmienił.

ANTEK: Niby jak się zmienił? Po co się mam zmieniać?

STASZEK: Ech... ty jak się ożenisz, to i wtedy się nie odmienisz.

ANTEK: A jakeś taki galant, czemu nie popchałeś jej wózka, tylko pieciesz ze mną?

STASZEK: Dopóki nie zaręczymy się, to mi nie wypada za dużo się przy niej kręcić. Śmieliby się z niej, że już kawalera znalazła.

ANTEK: I tak się będą z ciebie śmiali i z niej. Już się śmieją.

STASZEK: Proszę bardzo. Najlepiej śmieje się ten, kto na ostatku się śmieje.

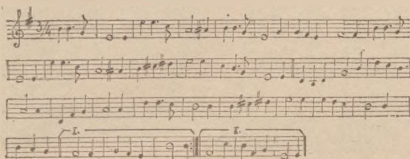
ANTEK: Najlepiej śmieje się ten, kto się śmieje od początku do końca.

STASZEK: *(naraz)* Bronka nadchodzi. Pamiętaj, że masz zdobyć jej względy. Inaczej marne będę miał o tobie wyobrażenie...

(Dok. w nast. numerze).

SERCE GRANATU

A. Charzewskiego do słów Adama Ważyka

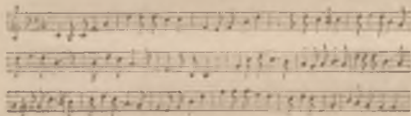


W roku trzydziestym dziewiątym niegdyś,
odłamek muru skroń ci znieczulił,
ktoś cię pochował tam, gdzie poległeś,
w sercu śródmieścia, w załomie ulic.
Wiosną kiełkuje spod rumowiska
twojego domu zbłąkana trawa;
Grób bez ojczyzny, proch bez nazwiska
i mury stoją rzewne — Warszawa.

Przyjdę do ciebie pod załom ulic —
drogą najkrótszą, marszem z daleka,
tam, gdzie pod kamień grób twój się wtulił,
przyjdę, wstydliwy prochu człowieka.
Na to, byś w mieście żyjącym leżał
i w ziemi swojej wiadomej światu —
i na to właśnie trzykroć uderza
w rzucie na Zachód serce granatu.

TWARDE RĘCE

A. Charzewskiego do słów Władysława Broniewskiego.



Miedź i żelazo, nafta i węgiel
z czarnych czeluści krzyczą o czyny.
— Niech nas zamieni w ludzką potęgę
ramię stalowe ludzkiej maszyny!
Niech nas zamieni w tłum parowozów
górnik i giser, ślusarz i monter
drogi żelazne niech nas zawiozą
ziemiom dalekim za horyzontem!

— My pracujemy w trudzie i znoju, —
mówią górnicy, tkacze, murarze, —
co dzień do pracy, tak jak do boju,
ziemia surowa stanąć nam każe.
My z nią walczymy młotem, oskardem,
aby jej wydrzeć skrzydła do lotu
mądre są ręce nasze i twarde,
kiedy ujmują ster samolotu.

Ziemia jest twarda, twardsza niż ręce,
gwałtem bogactwa trzeba jej wydrzeć,
w trudzie i znoju, w trudzie i męce,
ręką na młocie wspartą i świdrze.
Do nas należy ziemia ogromna,
nasze ją ręce ujmą, ażeby
na niej zbudować dom dla bezdomnych,
w domu tym radość dzielić jak chleby.

Na Pomorskiej Wystawie w Bydgoszczy

Dobrze jest, że na progu wystawy wita nas fontanna obramowana dekoracyjnie ustawionymi drzewami. W rozpryskach wody przepływaje się brzmiąca poważnie o narastającej treści nazwa „Pomorska Wystawa Przemysłu, Rzemiosła i Handlu". Toteż podejmujemy zwiedzanie z lekkim uczuciem nastroju świeżości i ciekawości jakie nam niespodzianki w rodzaju tej pierwszej przyniesie wędrówka po stoiskach.

W zasadzie nie lubimy gospodarczych wystaw i jeżeli przebiegamy je oczyma to raczej wyłapując interesujące nas jednostkowo przedmioty, jakieś atrakcyjne ciekawostki.

Nie chwytamy głębszego motywu takich wystaw — nie przeliczamy pracy na wytwórczość, nie kalkulujemy obrotu. Nie mamy zresztą do tego właściwego przygotowania w naszym średnim a nawet wyższym wykształceniu. A jeżeli było ono w programie szkolnym, pozostało, wraz z podręcznikiem i stopniem w cenzurze, poza praktycznym zastosowaniem — nie czuliśmy potrzeby włączyć tego do naszego prądu życia. A przecież tak teoretycznie wiemy, że przemysł, rzemiosło, handel mają kolosalny wpływ na nasze nowoczesne bytowanie. Przekonaliśmy się oglądając się naokoło w tym powojennym okresie, że dobra gospodarka jest podstawą życia zbiorowości, warunkiem dobrego samopoczucia obywateli, rękojmi rozwoju państwa. I teraz kiedy rozsądek skłania nas do zajęcia się i zrozumienia tych dziedzin życia dobrze jest, że bydgoszczanie ułatwili nam wejrzenie w te sprawy dużym urozmaiceniem w rozmieszczeniu i uszeregowaniu działów. Wystawa bowiem nie jest mała i może mocno znużyć zwiedzającego, jeżeli nie pokrzepi się smakowitym winem w stoisku, nie osłodzi drogi po salach reprezentujących różne instytucje cukierkami z bydgoskich firm. I nie strasznym się staje wówczas to co z dumą podkreśla organizator wystawy, że obejmuje ona 15 pawilonów, wielką halę wystawową, oraz trzy gmachy szkolne wraz z dziedzińcami i wystawia w sumie 1087 różnych firm i przedsiębiorstw reprezentujących 20 różnych gałęzi przemysłu, handlu i rolnictwa. Nie przeciążeni zmęczeniem możemy ogarnąć całość tego imponującego startu miasta Bydgoszczy w pierwszym roku po wojnie. I mimo woli nasuwa się nam pytanie, co uzasadnia możliwość takiego rozpędu. Wyjaśnia nam to przedstawiciel tego miasta z dumą i rozwagą.

Oto Bydgoszcz z miasta leżącego na kresach Polski, żyjącego własnym dobrze przed wojną zorganizowanym życiem staje się miastem położonym centralnie. Przechodzi przezeń arteria ruchu komunikacyjnego ze wschodu na zachód i z południa na wybrzeże. To nie uprzejmość skłania wystawców do przesłania swoich eksponatów, to dobrze zrozumiany interes. Oni już wiedzą, że Bydgoszcz ma możliwości wytwórcze i rozprowadzające, że tu prawdopodobnie stanie baza węglowa na całe Pomorze — tu ruszy-

przemysł wsparty siłą węgla, stąd łatwo będzie wypchnąć towary eksportowe drogą wodną na międzynarodowe rynki. Uśmiechają się obywatele miasta przysłuchując się wraz ze zwiedzającymi tym wyjaśnieniom, ale poza tym uśmiechem widać głęboki namysł i rozwagę w podjęciu roli, którą im nowy układ naszych granic przeznacza.

Różnorodność pawilonów nie zależy tylko od rozmaitości eksponatów czy to z działu skór, ubrań, mebli czy narzędzi — znajduje on swój wyraz w różnorodnym potraktowaniu graficznym. I chociaż poziom jest nierówny dużo jest sal budzących miłe wrażenie swoim charakterem dekoracyjnym. Ale opisujący większą miałby atrakcję w opisywaniu tych stoisk, niż czytający, któremu nie pomoże wyobraźnia odtwórcza. Nie nużymy więc opisem, ale radzimy albo jechać na wystawę, która ma być przedłużona do 15.IX, albo pogłębić na odległość jej istotny sens, obejrzeć jej położenie oczywiście jako miasta na mapie, zebrać wiadomości o rozwojowych możliwościach Bydgoszczy i w ogóle zdać sobie sprawę z konieczności bardziej pozytywnego i praktycznego nachylenia swoich zainteresowań w kierunku spraw gospodarczych, jeżeli chcemy w życiu państwowym, a co za tym idzie i osobistym wygodnie i dostatnio zagospodarować swój dom

I. G.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Łamigłówka cyfrowa

				1				
	2	3	4	5	6	7	8	
	9	10	11	12	13	14	15	
	16	17	18	19	20	21	22	
	23	24	25	26	27	28	29	
	30	31	32	33	34	35	36	
37	38	39	40	41	42	43	44	45

Wyrazy pomocnicze:

5 1 13 2 23 17: zapalenie gardła;

4 14 6 22: nieodłączna część wiecow;

25 45 18 11 28: jeden z wrodzonych instynktów;

19 8 44 35 20 40: określenie przymiotnikowe obwodu, posiadającego na przemian występy i wgłębienia;

9 16 38 10 31 21 33: cecha dyplomacji;

42 7 3 15: praca na roli;

29 27 43 34 24 12. część ręki, l. mn.;

37 30 27 E 36: mieszkaniec jednego z północnych krajów;

41 E 32 A: ptak.

Powyższa tabelka cyfrowa kryje w sobie filozoficzną myśl geniusza Leonardo da Vinci. Kolejność liter w zdaniu zastąpiono kolejnymi cyframi, tę samą kolejność zastosowano w wyrazach pomocniczych, np. literę oznaczoną cyfrą 33, umieścić w tabelce na miejscu liczby 33, czyli, że np. „a" o ile występuje kilkakrotnie — za każdym razem jest oznaczone inną cyfrą. Duże litery pomocnicze w właściwym rozwiązaniu nie mają znaczenia.

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych otrzymamy rozwiązanie tabelki.



Kącik Szachowy

Gambit hetmana — Botwinnika

Jednym z doskonałych szachistów jest Botwinnik. Na międzynarodowym turnieju w Nottingham uzyskał on wielki sukces, dzieląc się wraz z Kapablanką pierwszą i drugą nagrodę.

Poniżej podajemy jego partię, jaką rozegrał z dr Widmarem:

Białe — Botwinnik	czarne — dr. Widmar
1. c4	e6
2. f3	d5
3. d4	Sg8—f6
4. Sb1—c3	Gf8—e7
5. Gc1—g5	0—0
6. e3	Sb8—c6
7. Gf1—d3	c5
8. 0—0	c5×d4
9. e3×d4	d5×c4
10. Gd3×c4	Sd7—b6
11. Gc4—b3	Gc8—d7
12. Hd1—d3	Sb6—d5
13. Sf3—e5	Gd7—c6
14. Wa1—d1	Sd5—b4
15. Hd3—h3	Gc6—d5
16. Cc3×d5	Sb4×d5
17. f4	We8—c8
18. f5	e6×f5
19. Wf1×f5	Hd8—c6
20. Se5×f7	Wf8—f7
21. Gg5×f6	Ge7×f6
22. Wf5×d5	Hd6—c6
23. Wd5—d6	Hc6—c8
24. Wd6—d7	Czarne poddały partię

Szarada prozą

2—3. karta,
1—2: łódź,
1: knajpa,
4—2: werniks chiński,
2—3 — pół 4: imię męskie
3 — pół 2: okres,
3—4: pole,
1—2—3—4: ???

Rozwiązanie z Nru 17

Konikówka

„Nadzielenie szerokich mas bezrolnych ziemią — to właściwy cel refor- [illegible]"

[illegible]

[illegible] ich wartości.

Marok-Markowski Józef. Jest wielu ludzi, którzy nie mogą sobie pozwolić na kupno pisma. Dlatego istnieją czytelnie przy świetlicy, w których można bezpłatnie poczytać. Proszę [illegible] możliwości odwiedzenia czytelni?

Przypominamy, że należy wpłacać na adres redakcji lub konto P. K. O. — IV — 476 prenumeratę kwartalną w kwocie zł 45 „Świetlicy Krakowskiej".

ŚWIETLICOWCY MÓWIĄ

Jestem przyjacielem książki

Zaciekawiony w pewnym czasie o zainteresowania moich znajomych, chciałem przekonać się, ilu z nich interesuje się książką.

Na zapytanie czym się w życiu najwięcej zajmują, szereg moich znajomych dawało mi różne odpowiedzi, w większości związane z ich zawodem. Przeszedłem do antykwariusza, ten odpowiedział, że tylko książkami. Poza nim, nikt z moich znajomych w odpowiedzi nie oświadczył, iż interesuje go książka.

A mnie, chociaż nie jestem antykwariuszem, książka interesuje najwięcej. Miał mój ojciec olbrzymią bibliotekę, niestety, zginęła ona pod gruzami Warszawy. Moim najmilszym zajęciem było przeglądać te książki, odkrywać w nich coraz ciekawszą wiedzę, obserwować postęp kultury świata oraz Polski. Gdy moi znajomi szli w wolnych chwilach na spacery, rozrywkę, gdzieś daleko, ja znajdowałem największą przyjemność w przebywaniu wśród książek. Zastępowały mi one najlepszą rozrywkę. W książce poznałem przyjaciela.

Dziś z naszej biblioteki tylko wspomnienia. Moi „przyjaciele" zginęli. Szukam ich po różnych bibliotekach, jednakże i w nich braki. Okupant powyrywał z naszego bogactwa kulturalnego co mógł nam najdroższego. Ten „przodownik kultury" zachodniej okazał się największym barbarzyńcą. Wyżywał swe najniższe instynkty w mordowaniu ludzi i niszczeniu wszelkich przejawów kultury podbitych narodów. Palił przez swoich pachołków książki, bombardował biblioteki, wywoził nasze skarby.

Dziś obserwujemy dążenia różnych spółdzielni wydawniczych do wypełnienia strat. Z przyjemnością obserwuję prace w drukarniach, w których te książki wysuwają się spod maszyn. Staję często przy ul. Wielopole przed drukarnią „Czytelnika" i patrzę przez olbrzymie okna parterowe, jak maszyny pracują. Dźwięk ich wywołuje uczucie dziwnie przyjemne. Cieszę się również widokiem zapełniających się wystaw księgarń, wznowionymi i nowymi wydawnictwami. Uczucie miłe jednak pryska w chwili, gdy pytam się o cenę... Niestety, pod tym względem sprawa przedstawia się smutniej. Ceny książek są bardzo wysokie. Niewspółmiernie wyższe do zainteresowania i zapotrzebowania. Nie stać mnie na zakupienie książek. A chciałbym ich mieć jak najwięcej. Potrzebne mi one są tak jak chleb codzienny.

Z niecierpliwością oczekuję chwili, gdy przyjdzie taki moment, że stać mnie będzie na zakupienie masy książek, założenia sobie biblioteki i spędzenia wśród mych przyjaciół najmilszych chwil.

Stankowski Józef
Świetlica Wodociągów Miejskich

[illegible]